

BLUSZCZ

Spółecno-Literacki Ilustrowany Tygodnik Kobięcy

ROK LXII

WARSZAWA, DNIA 8 CZERWCA 1929 ROKU

NR. 23

TREŚĆ NUMERU: Dlaczego nie jesteśmy cenione—*Natalja Jastrzębska*. Poezje: „Spotkanie z wiosną”—*Bronisława Ostrowska*. Zawalidroga (powieść) c. d. — *Herminja Naglerowa*. Dnie pogodne (c. d.) — *Halina Dąbromolska*. Zielony karnawał w Londynie—*Han. Skar*. Z teatrów — *S. P. O.* Pięćdziesięciolecie pracy artystycznej *Zofji Czaplńskiej* — *S. P. O.* Książki nadesłane do Redakcji. Kobieta w świecie i w domu — *S. P. O. i M. D.* Odżywianie a zdrowie. Racjonalne kurniki (dok.) — *A. D.* Przepisy gospodarskie — *Pani Elżbieta*. Dodatek „*Nasza Mównica*”. Dodatek „*Mody i roboty*”: W wodzie i na plaży — *Well*. Dodatek „*Kultura Ciała*”. Dodatek powieściowy: „*Głos krwi*” — *R. Hichens*. Arkusz wzorów.

DLACZEGO NIE JESTEŚMY CENIONE

Bardzo smutne refleksje obudził we mnie artykuł p. Janiny Strzeleckiej p. t. „Zadania kobiety współczesnej” (w Nr. 19 „Bluszczu”).

W artykule tym stwierdza autorka z wielką trafnością sądu, werwą i bystrością spostrzeżeń, że, pomimo wszelkich równouprawnień konstytucyjnych, kobiety nie osiągnęły dotąd w Polsce pełni praw, ani politycznych, ani ekonomicznych i społecznych.

Na pociechę, możemy powiedzieć sobie, że wszędzie prawie jest to samo. Z wyjątkiem Francji, Szwajcarii i niektórych krajów półwyspu bałkańskiego, korzystają kobiety wszędzie z praw politycznych i teoretycznego równouprawnienia ekonomicznego; pomimo tego, nie słyhać nigdzie, za wyjątkiem może Ameryki i Anglii, aby odgrywały ważniejszą rolę w dziejach swych krajów i aby nie były pokrzywdzone ekonomicznie. Kto wie, może nawet u nas więcej ważką jest praca kobieca, więcej znaczą ją, w ogólnym dorobku politycznym i społecznym, więcej słyhać o jej poszczególnych pionierkach — niż gdzieindziej.

Ale słaba to pociecha, bo naogół każdy myślący i znający stosunki człowiek zgodzić się musi z p. Strzelecką, że kobiety pozostają w życiu szarą masą, pracując ciężko, stanowiąc swą pracą ogromną część dorobku społecznego, ale razem z tym dorobkiem, ani osobiście, ani ogólnie wpływu poważnego na bieg spraw w państwie nie osiągnęły.

Wywoła to może protesty i oburzenie, moim zdaniem jednak, przyczyną tego stanu rzeczy są tylko i wyłącznie same kobiety. Powtarzam, przyczyną,

nie winą, nie jest to bowiem żadna osobista ani wspólna wina, ale cały splot skutków, których przyczyny tkwią głęboko w przeszłości i tylko cierpliwą, rozumną i planową pracą nad sobą każdej poszczególnej jednostki i wszystkich razem będą mogły zostać usunięte.

W genialnym dziele swoim „Świat Kobięcy” dokonała *Marja Grossek-Korycka* najsubtelniejszej i najgłębszej analizy psychiki kobiecej, wszystkich przyczyn dzisiejszego nieprzygotowania i trudności, spotykanych przez kobiety na drodze pracy, bądź osobistej, zawodowej, bądź na szerszej arenie politycznej i społecznej. Każda kobieta powinna poznać tę książkę i przemyśleć ją głęboko. W krótkim artykule niniejszym pragnę wskazać tylko kilka zasadniczych i najbardziej rzucających się w oczy przyczyn, dlaczego jesteśmy do osiągnięcia racjonalnego i poważnego wpływu nieprzygotowane.

Tak jest, nieprzygotowane, bo że mamy jednostki wybitne, wielkie uczone, działaczki, posłanki, pisarki i cały szereg zdolnych pracownic — nie zmienia to faktu, że ogół — masa — nie ma o życiu społecznym, ani politycznym żadnego pojęcia, nie interesuje się nim, nie reaguje na nie, lub reaguje błędnie, mogąc być najwyżej narzędziem w rękę jakiegoś stowarzyszenia, lub jakiejś partji w czasie wyborów.

Tak jest, ogół kobiet nie traktuje serjo ani spraw zawodowych, ani spraw publicznych, ciężko to powiedzieć — może nawet spraw życiowych wogóle.

Mówiono już niejednokrotnie, że t. zw. prze-

ciężni mężczyźni są zupełnie tacy sami, często o ileż mniej inteligentni i mniej wyrobieni. Twierdzi to sama p. Strzelecka, przytaczając przykłady, jak w wielu biurach cała praca spoczywa na barkach referentek i sekretarek-kobiet, podczas gdy mężczyźni na stanowiskach naczelników ograniczają się do kładzenia podpisów. Przykład, choć bardzo znany, nie jest przekonywujący, stwierdza bowiem tylko inteligencję referentki, nie stanowiąc wcale dowodu braku inteligencji naczelnika. Pomimo tego przykładu, śmiem twierdzić, że porównanie inteligencji, znajomości życia publicznego i orjentowania się w sprawach publicznych przeciętnej mężczyzny i przeciętnej kobiety — wypadnie na niekorzyść tej ostatniej.

Weźmy dla przykładu stosunek do sprawy drobnej, codziennej, a jednak niezmiernie ważnej — do czytelnictwa.

Czy jest dziś „oświecony“ mężczyzna, który nie czytałby dzienników? A powiedzmy szczerze, ile kobiet je czytuje i co w nich czyta? Napewno każdy mężczyzna, nawet przeciętny robotnik, będzie umiał po przeczytaniu swojego dziennika powiedzieć, co się dzieje w Lidze Narodów, gdzie się odbywają i na jakim tle toczą się obrady Konferencji Pracy, jakie są w tej chwili konjunktury gospodarcze w Ameryce, jak wpływają one na nasz rynek i t. p. Zapytajmy o to przeciętnej kobiety — zobaczymy, co nam odpowie!

Zasadą jest, że każdy inteligentny człowiek umie zdać przynajmniej **sobie** sprawę z tego, co przeczytał. A oto żywy przykład: w „Mównicy“ „Bluszcze“ toczy się polemika pomiędzy dwiema korespondentkami: Częstochowianką i p. Mal...cką o pracę zawodową kobiet. Częstochowianka występuje przeciwko pracy zawodowej mężatek, p. Mal...cka broni tej zasady. Przed kilku dniami przyszła do mnie osoba, wykształcona, dużo czytająca i, przeczytawszy artykuł p. Mal...ckiej, w którym ta potępia porzucanie pracy przez mężatki, oświadczyła mi, że artykuł doskonale jest napisany, gdyż kobieta — mężatka i matka — pracować zawodowo nie powinna!

Wyjątek, powie kto może. Nie, wyjątków takich jest tysiące, potwierdzają one w zupełności regułę. Kobiety są tak nieobyte z logicznym myśleniem, z poważniejszą lekturą, z rozstrzygnianiem szerszych spraw, że gdy zaskoczy je taka okazja, tracą głowę i nie wiedzą, jak wybrnąć z sytuacji.

I jeszcze jedno — ilu mężczyzn czytuje feljetyony w dziennikach i tygodnikach, a co, prócz tych feljetonów, czytują kobiety?

Ciekawa byłaby statystyka, i wartoby było ją przeprowadzić!

A teraz — druga sprawa, stokroć ważniejsza: sprawa zajęcia miejsca w życiu, wyboru stanowiska, wyboru zawodu życiowego.

Tak, jak na polu politycznym, zyskały kobiety i w tej dziedzinie — teoretycznie — zupełne równouprawnienie. Żadna uczelnia, żaden zawód nie są im niedostępne. Istnieje w praktyce mała liczba profesyj, nie odpowiednich dla kobiet z powodu braku sił fizycznych, jest to kropla w morzu. Całe wielkie pole pracy zawodowej stoi przed kobietami otworem.

Dlaczego więc nie wyrobiły sobie większego w tej pracy znaczenia, dlaczego, jak to stwierdza p. Strzelecka i tysiącnie znane nam przykłady życiowe, są kobiety przeważnie tylko czarną siłą roboczą, niedopuszczane do wyższych stanowisk, gorzej płatne i mniej cenione?

Czyż jaskrawą odpowiedzią na to nie jest choćby wspomniana polemika w „Mównicy“, polemika, w której cały szereg kobiet dowodzi, że mężatki nie powinny pracować zawodowo! Co według zwykłej ludzkiej logiki znaczy, że istotnie poważnie pojętą pracę zawodową wykonywać może tylko nieliczny u nas odsetek kobiet niezamężnych, a reszta pracować ma tylko tymczasowo, do zamążpójścia!

Tyle — w polemice. W życiu jest gorzej, istotnie bowiem całe szeregi kobiet, zwłaszcza bez specjalnego, fachowego wykształcenia, pracują w biurach, sklepach i t. p. tylko z konieczności, z myślą jaknajprędzszego porzucenia tej pracy z chwilą zamążpójścia. Czyż można się potem zbyt dziwić, że kobiety takie nie są na swoich stanowiskach cenione, że są gorzej płatne i że nigdy do poważnych rezultatów dojść nie mogą?

A co smutniejsze, że nawet tym zdolnym, sumiennym, pracowitym i poważnie traktującym swój zawód brak widocznie energii, racjonalnego postawienia się w stosunku do otoczenia, brak właściwego nerwu życiowego, skoro sobie za swoją pracę wywalczyć nie potrafiły właściwego stanowiska. Bo zdarza się i wśród mężczyzn, że zdolni ludzie pozostają w cieniu, ale to są wyjątki, i ludzi tych nazywamy zwykle... niedośćkami. Przeciętnie, bowiem, sumienność w pracy, zdolność i inteligencja dopomagają zawsze do osiągnięcia właściwego stanowiska. Nie mamy tak wielu zdolnych ludzi, abyśmy ich mogli chować pod korcem.

Ale oprócz zdolności, potrzebne jest jeszcze poczucie wartości własnej i poważny stosunek do życia; tego właśnie ogół kobiet nie posiada. Jedne uważają pracę za zło konieczne, traktują ją, aby zbyć, aby odrobić normę, czy godziny pracy i wziąć pensję; drugie — sumienne może nawet i zamiłowane — są nieśmiałe, obraźliwe, oczekujące uznania za pracę, jakby za jakąś wyjątkową zasługę, nieumiejące zająć właściwego stanowiska, nakazać szacunku dla swojej pracy i wykazać jej korzyści.

Rzecz prosta, że nie są takimi wszystkie kobiety, że istnieją wyjątki, ale też... te właśnie wyjątki do wysokich nawet stanowisk dochodzą. Nazwiska

ich, jako posłanek, wyższych urzędniczek, działaczek i t. p. znane są całemu ogółowi.

Ale tu nie chodzi o wyjątki, tu chodzi o przeciętną zdolność każdej jednostki. I tu właśnie sprawa kobieca stoi źle. Z każdym przeciętnym mężczyzną śmiało i swobodnie poruszyć można sprawy polityczne, społeczne, ekonomiczne, każdy orientuje się w nich i zajmie w stosunku do nich jakieś określone stanowisko. Kobiety trzeba dobrze znać, aby wiedzieć, o czym można z nią zacząć rozmowę. A do iluż to spraw życiowych, prywatnych i publicznych ogromna ilość kobiet, starszych i młodszych, pozornie nawet wykształconych i rozumnych, odnosi się do dziś dnia w myśl złośliwego, ale cudownie trafnego sienkiewiczowskiego określenia: dwa razy dwa jest... lampa!

Wszystko to jest smutne, ale z wszystkiego tego trzeba sobie zdać sprawę, aby znaleźć na to lekarstwo.

Przyczyny tego stanu rzeczy tkwią, jak wspomniałam wyżej, daleko w przeszłości. Główne z nich — to brak wykształcenia, zasklepienie się we własnym kółku domowym, przytłoczenie nieracjonalnie pojętem i prowadzonym gospodarstwem i wynikające z braku szerszych horyzontów umysłowych, przesadne zamiłowanie do strojów i błahostek.

Że tak jest, najlepszy dowód znajdziemy w praktyce. Każda kobieta, świadoma swych praw i obowiązków obywatelskich, myśląca logicznie, pracująca poważnie, będzie zawsze wykształcona, lub choćby przez pracę zawodową „otarta“ w szerszym środowisku, przyzwyczajona do szerszych spraw i zagadnień.

Idźmy więc tą drogą. Nie zaniedbujmy przede wszystkim wykształcenia swego i naszych córek. Niech każda z dziewcząt wchodzi w życie z solidną podstawą naukową, czy to będzie wyższa uczelnia, czy tylko gimnazjum, seminarjum, kursy fachowe czy szkoła zawodowa; niech każda kobieta wie, że jest samodzielnym człowiekiem, obywatelką państwa, winną mu część pracy osobistej, zawodowej i społecznej. Trudno w to uwierzyć, a jednak istnieje jeszcze wiele rodzin, które za ciężki grzech poczytywałyby sobie nie danie należytego wykształcenia

chłopcom, a zupełnie inaczej traktujących córki. Ileż dziewcząt, nawet zdolnych, wychodzi, nie wiadomo dlaczego, z gimnazjum i to nieraz z wyższych klas, spędzając nieprodukcyjnie czas w domu; ileż zbyt młodo, bez żadnego zastanowienia i przygotowania wychodzi zamaż! Rodzice, którzy z rozpaczą przyliby na żeniącego się 19-letniego syna, uważają małżeństwo w tym wieku za karierę dla córki. Cóż dziwnego, że kobieta, nie rozumiejąca jeszcze siebie i swych własnych względem siebie, jako człowieka, obowiązków, nie umie spełniać potem dobrze obowiązków matki i obywatelki, wcale dziś nie łatwych.

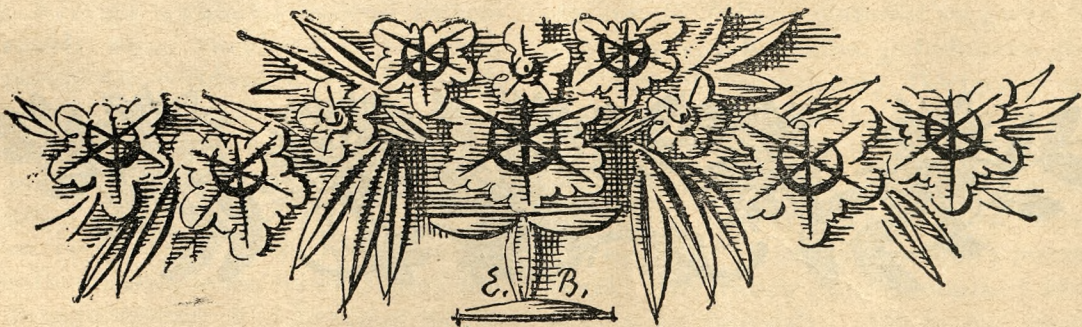
Pozbądźmy się w naszej pracy dorywczości, nieśmiałości, obawy przed odpowiedzialnością i braku wiary we własne siły. Ileż to razy widzimy, że kobiety, nawet wyrobione, doskonale pracownice, gdy przyjdzie im zająć odpowiedzialne stanowisko, lub choćby wystąpić publicznie, lękają się, uciekają, albo, co gorsza, uważają za rodzaj „dobrego tonu“ skromność, wymawianie się, tłumaczenie niezajomością spraw i usuwanie na drugi plan.

Powiedział Mochnacki, że ambicje nie są grzechem w rewolucji; maksymę tę powinny wziąć kobiety za swoją dewizę. Ambicje nie są grzechem w sprawie kobiecej. Oprzyjmy je na solidnych podstawach dobrego przygotowania, poważnej pracy, planowej i racjonalnej działalności, prowadzącej do wytkniętego celu, ale się ich nie wyrzekajmy. Mamy potemu dane. Ogół kobiet źle jest przygotowany do życia publicznego, sprawa równego udziału naszego w tem życiu nie stoi jeszcze dobrze, ale nikt zaprzeczyć nie może, że posuwa się ona naprzód.

I tak, jak w Anglii, znienawidzonej i wyśmiewanej przed laty 20-tu p. Pankhurst wystawiono dziś pomnik, a więzione niegdyś za agitację sufrażystki weszły do parlamentu — tak i u nas od pierwszych przed laty 20-ma nieśmiałych zaczątków, od pierwszych stowarzyszeń kobiecych, do dnia dzisiejszego widać wielki postęp, który od czasu niepodległości idzie istotnie przysłówiowemi, siedmiomilowemi krokami.

Nie traćmy więc nadziei, pamiętając o wielkiej zasadzie Kołłątaja: że ludzie nie do praw dorastają, lecz w prawach rosną.

Natalja Jastrzębska,



BRONISŁAWA OSTROWSKA

SPOTKANIE Z WIOSNĄ

(Z TEKI POŚMIERTNEJ)

I.

Wiosna dziś, jak w kapelusz, ubrała się w moje okno,
Zawiązała woalkę firanki
I patrzy nieba źrenicą błękitną, wilgotną,
Z uśmiechem splakanej kochanki.

Ma lśniącej płaszcz wiosenny: mokry jeszcze przecięległy dach, —
I czerwone pelargonje w butonierce.
A ja stoję, jak żak, i rozdycham „ach“!
I ręką przyciskam serce.

Bo serce mam wozbrane, jak nabrzmiąły pąk na kasztanie,
Od rannej burzy tchu
I na pęczku fiołków składam pocałowanie,
Przyjmując rendez - vous.

II.

Będę czekać w cukierni u Ogrodu Saskiego
Na zielono kratkowanej werandzie.
Z ulicy będzie turkot, ale kurzu nie będzie,
Tylko w bluszczu wielki wróbli świergot.
Lody będą kremowe, jak herbaciane róże.
Bose dzieci przyniosą tam mokre bzy,
A potem gazetę szarpnie wiatr i słońce błyśnie na murze —
I przyjdiesz ty.
A jeżeli w największej, największej tajemnicy,
Powiedz mi — tak
— To Ci kupię — baloników kolorowy krzak,
Co kołysze się na rogu ulicy.



HERMINJA NAGLEROWA

7

ZAWALIDROGA

(Powieść)

Nie mógł jej spojrzeć w twarz, aby lepiej zrozumieć, dlaczego tak mówi. Patrzyła właśnie w inną stronę, jakgdyby to, co mówiła i myślała w tej chwili, było mniej ważne od okna wystawowego, w którym rozmaitego koloru rękawiczki ułożone były dłońmi ku sobie, niby w bezmyślnej modlitwie.

VI.

Tego wieczoru w kawiarni mówiło się, jak zawsze, o sztuce, a raczej o „Nowej Sztuce“.

— A propos — powiedział, sepleniąc, Konrad — przyjęliśmy dwa sonety pana.

— Tak?!

Franek natychmiast pożałował, że w jego zapytaniu było zawiele zdziwienia i radości. Poczul niechęć do tych dwóch sonetów, choć pewnie były dobre, skoro je przyjęli.

Przy stoliku siedziała prawie cała „Nowa Sztuka“ i czyniła wrzawę, niczem stado kraczących wron. Nadszedł również i reżyser i głośno chlupnął tłustymi udami o krzesło. Konrad zamówił butelkę benedyktyнки, i likier bladym topazem zabarwił kieliszki. Zapach kawy i zjełczanego masła pływał po sinych falach dymu. Kornety usługujących dziewcząt niemal krajały masywne powietrze, a ich spoczone twarzyczki były niby wędrujące pomarańcze na dużych tacach z mlecznego szkła.

Franek wypił już kilka kieliszków lepkiego likieru i miał słodką mgłę na oczach. Widziały mu się tak — rozbiegane sadzawki marmurowych stolików, krzesła, niby pnie na karczunku, a ludzie, jak rzucone gdzieniebądź szare płachty. Chwilami wykrzywiała się płaszczyzna widzenia i wtedy wszystko mogło się zsypać, zwalić, jak kartofle z worka.

Głosy mówiących skakały i bzdyczały, niby koniki polne:

— Nie mamy mocy, nie mamy odwagi — walił w samą skroń reżyser.

Trzeba było łyknąć trochę czarnej, by znieść ciosy tego głosu. Reżyser wykladał małemi usteczkami, które kurczyły się w ruchliwy ryjek. Oczy za wzgórkami policzków rozbłyskiwały chytrą i zarozumiałstwem. Co kilka zdań rodziły się w tych małych, zmiętoszonych wargach dobitne wyrażenia, niby siarczyste policzki. Ledwie można było stłumić oburzenie i obrazę.

— Wszystko, co się teraz pisze, jest pastelem, mgławicą bez konturu. Bawicie się słoweczkami, jak muszelkami na brzegu morza. A tymczasem morze huczy, wścieka się — jest! — Morze — to dzisiejsza

rzeczywistość, której nie macie siły udźwignąć. Bo wasza „twórczość“ jest niby zwiędły kwiatusek, wykoślawiony, zdechły prymityw, batik na dreliszku, dźwiękadelka, rachityczne gesty! Poproście — jesteście marni udawacze! Udajecie sztukę, pozbięrawszy skrzętnie to, co wyrzuciła Rosja, Francja, Anglja, Niemcy, Ameryka...

— Nie popisuj się geografją, najdroższy, bo okaże się, że nie skończyłeś szkoły średniej. Poco gadasz, kiedy wogóle nic nie czytasz!

— Gdzie jesteśmy my? — pisał reżyser. — Pytam was, chłopcy pyskate, parszający samozachwytem!

Zęby rozmaitego kształtu i koloru ukazały się w śmiechu. Ktoś zakwilił niemal żałośnie: — poczekaj trochę, jeszcze mamy w kościach wojnę!

— Właśnie, właśnie za tą wojną, jak za parawanikiem, załatwiacie swoje twórcze potrzeby. Cokolwiek dajecie do teatru, szeleści papierem. Daję słowo — wołę grać Wilhelma Tella, wołę jakiegós Racina, wołę każdą starzyznę, niż te wasze przemądrzałe fabrykaty.

— Więc o co ci chodzi? O powrót do pseudo-klasycyzmu, czy o romantyzm, albo nawet naturalizm? — dziabnął, jak ostrym pazurem, już osobiście dotknięty Konrad. — Nie wolno ci zapomnieć, że my wywodzimy się od Wyspiańskiego.

— Oczywiście z przymieszką Pirandella, Shawa, albo innego „Tena“, którego biją po twarzy. Prawdziwy coctail. Tylko dobrze wymięszać i potrząść! A potem, aby coś z tych płodów zrozumieć, dzielcie na krateczki: klasycyzm, romantyzm i koniecznie, dla kompletu i rymu, wasz kochany uniwersalizm. Pustka i nonsens, taniec Świętego Wita — psia krew! Czy tak trudno wam pojąć, że mówię poproście o wielkiej twórczości!

Chudy Cięński podniósł ciężkie powieki i, jak ryba, kłapnął bezgłośnie wąskimi wargami. Ale nie powiedział. Sztyletem ironji zamierzał się już płaskonosy Zuber i podniósł się gwar, daleki uszom, lecz gorący, jak upalna, południowa godzina.

Franek dojrzał oczy, tkwiące w spoczonych powiekach, niczem grudki mętnego szkła. W nagłym podnieceniu można było o wszystkim, choćby najważniejszym rozstrzygać, a pod czaszką drżało: Może teraz, może już teraz? Powie, niech się dowiedzą, kim jest! Dźwignął ramiona i poczuł ból w mięśniach. Cały ranek grał w tenisa i jeszcze nie rozprężyły się mięśnie. Ale to nic, choć właśnie od sufitu spłynął łuk tęczy, choć słowa w gardle są, jak

twarde piłki. Ale to nic — panowie, posłuchajcie, ja — ja — ja —

Drobna ręka w zamszowej rękawiczce wsuwała się w dłoń. Odrazu wygładziło się w mózgu. Wanda! ach tak, to Wanda przyszła. Buchnęło perfumami, ktoś śmiesznie powęszył nosem i ze znajomością przedmiotu stwierdził: Czarne narcyzy! Krzesła ruszyły się z łoskotem i Wanda usiadła między Frankiem a Konradem. Nic dziwnego, że wszystkich zagłuszyła dzwoneczkami sopranu. Musieli więc wysłuchać, że ma już kostjum do sztuki, śliczny gorsecik haftowany. Likier? Nie! jeżeli można, prosi o lody. Naturalnie, śmietankowe.

Wszystkie oczy były już żywe i światło lamp złościło się w nich dla Wandy. Franek odetchnął: Teraz nie musi już nic powiedzieć. Błyskawice zgasły, i dobrze, że nigdy nie uderzy grom. Byliby go tu pewnie wyśmieli, ośmieszyliby się nazawsze! Stało się nagle wesoło i rozmawiali pobłażliwie o pięknych oczach, o paryskim naszyjniku Wandy. Mizdrzyła się i ostro odcinała: Już nie potraficie mówić o niczem innym, o niczem mądrzejszem?

— Panie Franciszku! Przeczytałam balladę. Śliczna!

Wanda powiedziała to głośno i wszyscy musieli słyszeć. Cieński uśmiechnął się napewno złośliwie, a Łowicz zaczął się dopytywać natrętnie: a co? a jaka? Wanda odpowiadała solidnie z tak mocnym znawstwem, że Frankowi robiło się mdło, jak po łyżce rycynusu.

— Niech pani już nie mówi o tem — burknął niegrzecznie.

Ale i tak zaczęto już wałkować inny temat. Przyszedł właśnie redaktor „Nowej Sztuki“ i zawisł grubym nosem nad filiżanką kawy. Rzucono się na tekę redaktorską i wyciągano z niej karteluszeki, zasiane krostkami liter. Głowy skupiły się, kartki dygotały w rękach, śmiechy parskaly nad czyjśm nieudatnym słowem. Franek dojrzał i swoje sonety na polinowanych kartkach z kajetu. Już nie mógł znieść tak jawnego wstydu! Przecież wyśmiewali go w żywe oczy!

Przez Bracką, cuchnącą jatkami i zgniłymi owocami, zmykał w Aleje. Pod latarniami rozwidniał się czarny tłok ludzki, a drzewa świeciły nad nim, jak mosiężne świeczniki. Na ławkach gnieździł się zmęczony szept, a czasem łaskotliwy chichot wypadł z mroku, niby pisk myszy. Franek trochę zadzierał głowę, że to niby: ja i tłum — ale rozciekawiał się do tych ludzi, odgadując sobie o nich to i owo. Skreślił potem na Marszałkowską i jeszcze obejrzał się za siebie, aby zobaczyć, jak w głębi Alei latarnie, niby złote kuliste kapitele, dźwigały różowawy brokat nieba.

— Gdzie są gwiazdy, gdzie się podziały gwiazdy?

Odnalazł je dopiero daleko, na skłonie nieba, ponad wieżami kościoła Zbawiciela. Tam nie gasił ich blask latarń i mrugały malutkie nad ciemnym kręgiem placu wyścigowego, nad żółtą drogą, zdeptaną kopytami koni. Stały też pewnie nad lotniskiem, czarnem, jak dno morza. A tu w ulicy, pociętej rudem światłem, pachniał bez i konwalje z koszów kwiaciarek. Pachniał na chwilę tylko, bo już podpływał szarem prześcieradłem kurz i wielkie oczy samochodów pchały przed siebie miotłę promieni.

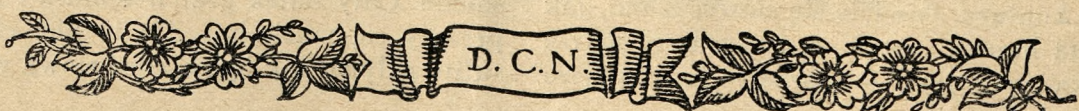
Na Marszałkowskiej trzeba było iść zygzakiem, aby uniknąć karamboli z dziewczynkami. Napierały niemal szturchaćkami łokci. Usta, ociekające różem, krwawiły się, jak ochłapy surowego mięsa. Z oczu, zakreślonych czarną ramą farby, wyskakiwały usługne propozycje i żebractwo cichych szepców sypało się, jak zgniłe liście. Jeszcze na Wilczej, niemal przed bramą domu szarpnęła go któraś za rękaw.

Gdy stróż otworzył bramę, Franek prawie zderzył się z pułkownikiem Zawilskim, który przywitał go z nieco zagłusną radością. Był właśnie u matki i czekał tak długo, bo, choć jest od kilku dni w Warszawie, nie miał sposobności widzieć Franka i powinszować mu matury. Oficer twardej rękami spinał dłonie Franka. Jego pełne policzki kurczyły się w uśmiechu, a gładziutkie frazesy zdawały się zacinąć w zdyszaniu. Franek nie mógł opanować wzruszenia, choć ręka spokojnie przyjmowała długotrwały uścisk. Gorący oddech pułkownika smażył twarz, niczem wrogi samum.

— Przyjechał niby to winszować matury! Bałwan!

Idąc po schodach, myślał, że przecież nietrudno panu pułkownikowi przyjeżdżać co parę dni do Warszawy, a tak się buntował za to przeniesienie do Białegostoku! Pewnie przyjeżdża tu częściej, niż dobro służby tego wymaga, a zawsze prosto z dworca można trafić do pokoju matki. Ale poco tchórzliwie udaje, że czekał na niego, by mu powinszować matury? Poco tak bezczelnie kłamie, choć wie, że trzeba być idjotą, aby mu uwierzyć? Może jeszcze i matka mu powie, że pan Jerzy nie mógł się go doczekać i że taki rad, że Frankowi się poszczęściło! A on, jak przystało, będzie udawać, że żałuje bardzo. Pokłamię sobie w oczy i będzie dobrze, należycie, układnie!

Marta, otwierając drzwi, zbурczała Franka: Przecież w tym domu wyspać się nie można! Odchodzą i przychodzą, jak się komu podoba — kłuskowała, zakładając łańcuch przy drzwiach.



HALINA DĄBROWOLSKA

D N I E P O G O D N E

VI.

JASZCZURKI.

Na jaszczurki chodziły Wanda i Klementyna w samo południe. Było wtedy dziwnie pusto na dworze. Ani much, ani ptaków: kwiaty zamknięte, zwierzęta pochowane, ludzie w pracy. Z upału, doprowadzającego do porażenia słonecznego, z białości lawy, która szła od nieba, cieszyły się tylko świerszcze, jaszczurki i one: Klementyna i Wanda. Kładły się wśród płaskich kamieni, gdzie największy skwar. Rosły tam olbrzymie dyndery, trujące naparstnice i potwornie wielkie łopiany. Z tych to liści robiły sobie kapelusze.

Wandzie i Klementynie nie tyle chodziło o to, żeby złapać jaszczurki, co żeby dowiedzieć się co nowego o ich życiu, podpatrzeć je, wysledzić.

Najwięcej było jaszczurek brązowych, małych. Wychodziły one ze swoich kryjówek, okrągłych dziur, na słońce lekko, niepewnie. Aż na kamieniu zwracały głowę wprost do promieni. Białe podgardla drgały im, dyszały lekko. Małe paciorki oczu poruszały się uważnie — aż po chwili zastygały we śnie.

Czasem na niewielkiej przestrzeni leżało kilkanaście jaszczurek — w pobliżu siebie — w kontemplacji.

Jak emalja drogocenna, połyskiwała ich skóra, pocięta w mozaikę i hieroglify łuski. Już tylko niekiedy mogły dziewczynki wypatrzeć jaszczurkę dużą, czarną, w jasne żółte łaty, osobliwość wielką.

Nikt nie rozumiał miłości Klementyny do tych zwierząt.

Bo i cóż — naprawdę tak trudno było coś w ich życiu zauważyć, wywnioskować.

Jaszczurki były płochliwe, leniwe. Nie znały gestów. Zaledwie język wysuwały z ust, lub powieki opadały im na oczy. Przecież nieruchomo leżące, szmaragdowe, jak klejnoty, były pretekstem do wszystkich marzeń, do strachliwych urojeń.

Oplatała je legenda, tajemnicza baśń stała wokoło. Budziły spazm ciekawości, czekało się czarów, niespodzianek.

Może polecą, jak widmowe smoki; nuż zmieniają barwę, jak kameleony, albo stanie się z ich powodu coś bardziej dziwnego, niż pomyśleć można.

A przecież nie działa się nic.

W gorącym słońcu przeciągały się leniwie i zastygały w bezwładzie.

Wszelka możliwość jednak była tuż obok.

Gdy jednak w domu Wanda wyjmowała parę złapanych jaszczurek, były one tylko biednymi, małymi stworzeniami, wydanymi na pastwę ludzką.

Nie miały aureoli czarów. Nic z bajki.

— Dlaczego one są tu takie inne — takie, że ich prawie łapać nie warto?

— Puścimy je niedługo.

— Dobrze; zawsze jest to złudzenie, że może zostaną tu w domu takie, jak tam, w słońcu.

— I dlatego je chwytam.

— I nigdy nie są takie same.

— Właśnie.

— I wkońcu zjada je kot.

— Przez nas...

— Pewnie...

— I wszystko.

Bo jaszczurki w niewoli mieszkają w dużej szufladzie stołu w pokoju dzieciennym — tam trwały. Piły mleko ze spodeczka i spały całe dnie, nocę.

Chwytane przez ludzi nieostrożnie, traciły ogon. Zostawał wtedy z bajecznego zwierzęcia mały, wstrętny potwór. Tułów prawie żabi, gad, istota brzydka, przyziemna.

Nie można było na takie jaszczurki patrzeć bez żalu i odrazy. Puszczała je też wtedy Wanda jaknajprędzej, chociażby do ogrodu.

Mniej zwinne, smutne, najczęściej łowił kot i zjadał.

To też później Wanda i Klementyna zrozumiały, że niema po co łapać jaszczurek.

Tłumaczyły zaufanym:

— Teraz już wiemy: można schwycić zwierzę, ale nie można złapać, zamknąć bajki.

VII.

TARANTULE.

W słoneczne dnie oprócz jaszczurek wychodziły ze swoich ziemnych dziur wielkie pająki. Miały kolor szary — włosy mysie. Nieruchome, płaskie gwiazdy tkwiły na ścieżkach, lub pełzły zdradliwie. Czasem z otworów w ziemi wyglądały ich złowrogie, zakrzywione szczęki. Wydawałoby się mogło, że nie robią nic — nawet śpią.

A oto przesuwa się cień po ścieżce; pająk myśli, że to dla niego zdobycz. W paru poruszeniach wielkich nóg jest już obok.

A to na niego czeka siatka Wandy.

Tarantula złapana i wrzucona do szklanego słoika tkwi na dnie nieruchoma, zebrana w sobie. Zła. Nie rozprasza sił, nie trwoży się, ani miota — czeka. Kiedy nadajdzie chwila, wtedy napadnie, ugryzie.

Klementyna tymczasem złapała nowych dwie i wrzuciła do tego samego słoika.

— Poślemy przełożonej, to się ucieszy.

— Takie łapanie nie jest dla nas bezpieczne.

— Dobrze, że mama nie wie, boby się niepokoiła.

— Patrz, mam jeszcze jedną; musi być młoda, bo wiotka i jaśniejsza.

Dziewczynki stawiają słój po powrocie do domu na oknie w swoim pokoju. W pewnej chwili duży słój pod same zamknięcie napełnił się tarantułami. Rozpostarły olbrzymie nogi, cielska ich jakby urosły. Zaczęły się kłębić, wstępować jedna na drugą, gryźć.

Puścili się w wir, jakby piekielny taniec; każda z nich kręciła się wkoło trzech innych — prawdziwy taniec tarantuli.

Stały się tak straszne i odrażające, że dziewczynki nie mogły patrzeć. Rozbroić też nie było można, gdyż mogły się rzucić na człowieka.

Małe pobiegły do ojca poradzić się i opowiedzieć o zdarzeniu.

Gdy wróciły, na spodzie słoika stała gęsta, biała ciecz, niby mleko.

Osowiałe, nawpół tylko żyjące pająki siedziały na dnie, spotniałe, czarne.

Nie było ojca, więc dziewczynki medytowały same nad zwierzętami.

— Patrz: to pewnie ich krew.

— A może jad? jak ropuchy, tyle z siebie puściły.

— Teraz zdechły.

— Nie można patrzeć bez odrazy na ten mord.

— Zdaje mi się, że djabeł nie powinien mieć postaci człowieka, a pająka.

— Tak są wstrętne.

— Same siebie zjadły.

— Wiesz — ja ich nienawidzę. Smutno mi. Nie wszystko jest dobre i ładne. Pamiętasz, kałużnice też zjadły w akwarjum inne stworzenia. Chruściki, małe kijanki, ikrę ślimacza. Jak łasica wypila jajka wilgi.

— A pijany Mychtodi zranił Iwę, bo mu wróżka powiedziała, że ona mu ukradła pieniądze.

— Nie myślałam o tem nigdy.

— I ja chyba też. Ale pamiętasz, jak tatuś się męczył, żeby zrobić operację owej Iwie — sam, nie będąc chirurgiem. Zmusił się jednak, bo nie było innego ratunku. No, i Iwa żyje.

— Tak, ale Mychtodi, chociaż pieniądze się znalazły, obiecał się na ojcu mścić za to, że Iwę ratował.

— Chodźmy do mamy, może mama nietylko jest bardzo biedna, może ma trochę racji.

— Przedtem tylko zakopmy te tarantule; nie chcę już ich wieść przełożonej. Najprędzej pozbyć się ich z oczu, zapomnieć.

— Ja ci pomogę, Wando; ale wiem, że prędko nie zapomnę tego jadu, nienawiści. Zagryzły się przecież na śmierć!

VIII.

WIECZÓR.

Chleb wyrabia Paraska w dzieżach okrągłych, w których, jak znicz nieśmiertelny, zostaje zawsze zaczyn z ciasta poprzecznego. Okrągłe, lśniące, białe były gładzi wodą, niby polewą. Rękami pieczolowicie wyrzeźbione, kładzie w piec na długiej łopacie dwanaście, piętnaście rzędem bochenków żar, drobny węgiel, leży na brzegu, w nim pieką się kartofle, przysmak dzieci.

Pod piecem jest otwór ciemny. Tam mieszka duch każdego domu: „Domowyk“, stary pewnie i brodaty. Każdy ma go w uwadze i rozmowach, chociaż niepewne, czy go kto widział.

Psy i koty zato wylegują się tam napewno i w zgodzie.

Na dużym sklepieniu pieca jest miejsce, gdzie spią dziewczki, smukłe, smagłe, nawpół dzikie. Raz tylko w sobotę czeszą swoje włosy olbrzymie i splatają na mokro w warkocze. Głowy później ubierają w kwiaty z włóczki i we wstążki jaskrawe. Włosów nigdy nie rozpuszczają na wiatr, bo mógłby złapać wróbel i zanieść do gniazda. Napewnoby im wtedy włosy wypadły.

Przed piecem i na przypiecku suszą się wełny i konopie. Wszędzie nad wodą słychać odgłos klepadeł, jak czeszą łodygi lnu. I potem na zielonej łące leżą ścieżki białe. Wprzędziona w nie jest zaduma cichego wieczoru wsi, zamknięte marzenie rąk, które przedły powolnie, przy śpiewie. Tkaniny wsi, gorącym słońcem bielone i błogosławione, radosne, miłe. Jakże inne są drelichy łódzkie, pasma smutne, grobowe, które stwarza maszyna, bieda, miasto!

U progu kuchni kłębią się psy. Jest Bimbas w łaty z włosem długim, jest kudłaty Mordek; Tygrys, skuzynowany z ceterem, i kundli pełno. Nie wiele mają zajęcia we dworze, zgraja darmożjadów.

Tylko Miłek na łańcuchu ma swoje obowiązki i ciężkie zadania. Na długim drucie przesuwa się na odległość sznura, wściekły, nieszczęśliwy, jedyny ze zgrai pokrzywdzony losem.

A teraz znów Klementyna siedzi z ojcem i razem czytają. Jest to francuska powiastka; nie wszystko rozumieją i czasem szukają w słowniku.

Klementyna jest dumna, że uczy się czegoś z ojcem razem, że on też mógł coś zapomnieć, nie wiedzieć.

Czytają o wielkiej świętobliwości księdzu-staruszku — kochanym przez wszystkich. Ksiądz miał zostać biskupem. Tak zdecydowano w djecezji i on tego pragnął. Było to wczesną wiosną i ptaki zakładały gniazda na bezlistnych jeszcze drzewach. Ptaki szczególną opieką i miłością otaczał staruszek. Jedno gniazdo uwiły sobie wróble na skrzynce od listów księdza; myślał długo, czy je zrzucić, ale cóż mu

listy ze świata? i pozwolił matce wysiedzieć pisklęta.

Dopiero jesienią, kiedy śnieg zrzucił gniazdo, spostrzegł proboszcz poślizgnięty list w skrzynce.

List ten, datowany z przed pół roku, był nominacją na godność biskupa.

Nieraz się dziwił starszek, dlaczego go pominięto, dlaczego innego wybrano. Teraz już wiedział: marzenie całego życia spełzło niedokonane.

Krótko jednak żałował. „Czy nie więcej jest

warte życie czterech piskląt, niż mój zaszczyt?” — myślał pogodnie.

Tego to wieczoru uczynił ojciec wyznanie Klementynie, ażeby nigdy, gdy będzie w biedzie — gdy będzie nieszczęśliwa, nie obwiniła go.

Nie potrafi i nie może uczynić dla szczęścia rodziny nic, jeśliby trzeba zrzucić chociaż jedno wróble gniazdo. Przysięgła to i całowała jego drogie ręce.

HAN. SKAR.

ZIELONY KARNAWAŁ W LONDYNIE

(Korespondencja własna)

W pięknej stolicy nad Tamizą rozpoczął się karnawał zielony — „brilliant season” — w pełnym znaczeniu tego słowa.

Serce kolosa bije przyśpieszonym, zawrotnym tętnem życia. Bawi się... śni zielony karnawał.

Po długim okresie zawieszenia wszystkich oficjalnych przyjęć na dworze z powodu długotrwałej choroby króla Jerzego — poraz pierwszy od wielu miesięcy podwoje pałacu buckinghamskiego zostały otwarte dla licznie zaproszonych gości na pompatyczną uroczystość prezentacji debutantek — młodych panien z najlepszych sfer, wstępujących w świat. Rok rocznie zostają one przedstawiane królowej Marji i defilują przed całym dworem w przepiślowych, specjalnie na ten cel sprawionych tualetach, składając ceremonjalne, średniowieczne ukłony.

Tegoroczny, nieprzewidziany zjazd gości cudzoziemskich do Anglii, przewyższa ilościowo i jakościowo podobne zjazdy z lat poprzednich. Luksusowe hotele i pensjonaty goszczą w swych apartamentach cały szereg wybitnych osobistości ze świata bankierów, businnes - menów, dalej rozmaitych magnatów, przybyłych z Chin, Japonji, Indyj i Afryki. Nie brak też, oczywiście, możnych maharadzów i tajemniczo - pięknych cór Wschodu, otoczonych całą switą poddanych.

„Wonderful London” — jak zwykli nazywać anglosasi stolicę nad Tamizą, porównywany jest dziś przez londyńczyków do — „Mekki północnej”, ściągającej ze wszystkich krańców globu masowe pielgrzymki ludów... Miasto żarzy się od światła, iskrzy się pomysłowemi, świetlnemi reklamami: porywa oczy przechodniów wystawami sklepów z „bajek z 1001 nocy” na Bond - Street, Oxford - Street, Regent, w Kensington i t. d. i t. d. Wysadza się na coraz to wyszukańsze atrakcje.

Do tych ostatnich, niezaprzeczenie, należą słynne na cały świat klasyczne wyścigi — Derby, odby-

wające się zazwyczaj w pierwszych dniach czerwca.

W „Wielkim dniu” Derby wszystkie drogi ze wszystkich krańców wyspy, prowadzą do Epsom, miejsca zawodów. Dla wszystkich obywateli zjednoczonego królestwa — bez różnicy płci, wieku, stanu kieszeni i orjentacji politycznej — stanowią te główne wyścigi konne źródło niezwyklego zainteresowania. Trudno, zaiste, powiedzieć, co w nich jest ciekawszego: sam bieg wspaniale ujeżdżonych koni, nazwiska mistrzów - dżokejów, czy nieprzeliczone, barwne tłumy widzów (sprzedaje się od 3 — 4 milionów biletów!), zapelniających szczelnie liczne trybuny, wszystkie miejsca stojące, nie gardzących nawet platformami i dachami autobusów. A przytem rendez - vous najlepszego towarzystwa z całego świata, pokaz wspaniałych wiosennych sukien i tutej - wawodzień - nia nowej mody na wszystkie strony.

Derby wzburzą umysły wszystkich stałych mieszkańców Anglii i przeminą... Londyn co dnia zmienia swą fizjonomję.

Po Derby — przyjdzie kolej na Ascot: — najbardziej w sezonie letnim (pierwsze dni lipca) fascynujące zapasy koni i ludzi rozegrają się w uroczym zakątku Brytanji, w miasteczku Ascot (odległym o 30 mil. ang. od Londynu), tuż w sąsiedztwie średniowiecznego zamczyska - twierdzy, Windsor - Castle, letniej rezydencji pary królewskiej. Żaden pałac królewski w Anglii nie jest związany tak ściśle z prywatnem życiem monarchy brytyjskiego, jak właśnie ta stara sadyba w Ascot. W tym roku, zarówno jak i w poprzednich, na gorące życzenie króla Jerzego, cały dwór buckinghamski wraz z nim zainstaluje się w letniej rezydencji na czas wyścigów. Nastaną więc znowu szalone dni... Ogarnie znowu wszystkich gorączkowe pragnienie wygranej, a kapryśna Fortuna nie omieszka płać figłów na prawo i na lewo.

Ostatnie wyścigi konne, zwane Good - Wood, odbywające się przy końcu lipca, zakończą „brillant-season“ na widowni wielkiego świata.

Tymczasem pomiędzy Ascot i Good - Wood, temi dwoma terminami, które są dziś na ustach wszystkich obywateli Albjonu, rozpoczną się w Londynie i trwać będą przez parę tygodni słynne wyprzedaże, zwane „Sales“, ściągające do serca imperjum nie tylko przedstawicielki płci pięknej z całego kraju, z dominjów, kolonij i kontynentu, lecz i liczne zastępy gentlemenów, goniących z niemniejszym pietyzmem za dernier - cri konfekcji męskiej.

Stolica nad Tamizą będzie znów w oblężeniu. Wszystko bowiem, w te dnié pójdzie za pół ceny (bez przesady), gdyż nadchodzący sezon jesienny wymaga w tej samej mierze, co i wiosenny, odnowionych wystaw sklepowych i najnowszych kreacyj modeli.

Podobno obroty handlowe we wszystkich magazynach londyńskich w okresie „sales“ przewyższają cyfrowo obroty, dokonywane w przeciągu całego roku.

Good - Wood zakończy zielony karnawał w Londynie!

Cały dwór, arystokracja, sfery urzędnicze, wojskowe, uwolniona z kazamatów młodzież akademicka — kto tylko będzie mógł — opuści zakurzone mury miejskie i pośpieszy na regaty jachtów do miasteczka Cowes.

Mieścina ta, położona na lilipuciej wysepce Wight, w pobliżu Southamptona, śpiąca spokojnym snem przez cały rok — zaczyna przecierać oczy dopiero przy końcu lipca, a z dniem 1 sierpnia stanie się terenem ciekawych zapasów, ściągając niezliczone mnóstwo gości i sportsmenów.

Do zawodów stanie kilkaset jachtów (piękne panie w strojach marynarzy!) z królową „Britania“ na czele, którą prowadzi zazwyczaj sam król; w tym roku zastąpi go powszechny faworyt anglosasów — księżę Walji.

Druga połowa społeczeństwa, posiadająca urlopy, wyruszy do Szkocji na grouse - shooting, pierwsze w sezonie polowania na głuszcze, lub na namiętne łapanie ryb.

W małych, skromnych oberżach rybackich, przykucniętych na brzegach cichych jezior (w północnej Anglii), spędza się kilka tygodni, oddając się po całych dniach, a nawet i w nocy, temu najspokojniejszemu chyba pod słońcem zajęciu.

Koniec sierpnia, pierwsze poddmuchy jesieni; mieszkańcy stolicy nad Tamizą powracają śpiesznie „do domu“, zainstalowują się u siebie. Odświeża się apartamenty, wyrzuca na rynek najświeższe modele i nowalje nadchodzącego sezonu.

Wrzesień zastaje już wielką metropolję podobną do wytwornej pani domu, gotowej do podjęcia nawiązań pełnych etykiety i tradycji — przyjąć - at home —

które w miarę coraz krótszych dni, a długich i bardziej zamglonych wieczorów — przeistoczą się w barwne życie towarzyskie high - life'u londyńskiego.

Londyn w maju.



TEATR LETNI:

„W czepku urodzony“ — krotchwila Wincentego Rapackiego.

Nareszcie mamy dobrą polską farsę. Dobrą — bo nie udaje komedji, nie pozuje na nic, nie stara się małpować obcych wzorów, daje życie, nie makulaturę. Polską — bo wszystko, co w niej jest, co w niej żyje i rusza się na scenie, poczynając od starego wygi, woźnego teatralnego, co za złotówkę każdego goliwasa gotów tytułować mistrzem, kończąc na egzaltowanych pensjonarkach, kradnących na pamiątkę rękawiczkę sławnego śpiewaka („później się nią podzielimy“) — wszystko ma charakter tak niezawodnie lokalny, że od pierwszej sceny czujemy się odrazu u siebie, na własnych śmieciach.

I ta cała raptowna karjera młodego tenora, to przerodzenie się głupawego, wyśmianego przez krytykę, kolegów i rodzinę, ale pewnego siebie aż do bezczelności Franka — w europejskiej sławy śpiewaka Frankiniego, dzięki zabiegom zręcznego impresarja, fabrykującego fenomenalnych śpiewaków tak, jak inni fabrykują fortepiany, cała ta kuźnia sławy, ta dekoracja snobizmu, pozy i reklamy, pod którą ukrywa się małostkowość i głupota, — jakież to wszystko międzynarodowe, a zarazem nam bliskie!

Znamy takie talenty i takie karjery; i dla naszej publiczności pieczętka Medjolanu, Londynu, czy choćby Wiednia ma tę siłę przyciągającą, wobec której błędnie istotna wartość talentu i zasługi.

Podejście do tej sprawy od strony pogodnej satyry, zgodne jest z charakterem Rapackiego, który nawet z najgłupszych postaci umie wydobyć swoisty sentyment i nadać im urok ujmującego komizmu. Jego śmiech jest śmiechem zdrowym, pozbawionym jadu, śmiechem dobrego i dowcipnego człowieka. Doskonale podpatrzenie środowiska, takt i umiar w operowaniu szarżą, prostota konstrukcji, rzucenie całego światła raczej na charakter, niż na wyścig sytuacji farsowych — kładą na tej bezpretensjonalnej krotchwili pewne piętno niepodrobionej szlachetności, która w naszym, tak ubogim repertuarze farsowym, zapewnia jej jedno z miejsc najdosłojniejszych.

Są i tutaj niepotrzebne powtórzenia i niezręczności w dialogach, są niestety, nawet poważne błędy językowe, ale od czegoż olówek reżyserski? Ważniejsze to, że sztuka jest wesoła, zabawna, a niema w niej nic plugawego, nie grubego, nie nieprzyzwoitego. Okazuje się, że można być dowcipnym, nie będąc ordynarnym. Chwała Bogu za to pierwszorządne odkrycie w dziedzinie możliwości farsowych!

Sztuka była zagrana i wyreżyserowana na piątkę z plusem. Kurnakowicz i Orwid, pierwszy w roli śpiewaka, drugi — impresarja, dali żywych ludzi. Był to koncert na poziomie europejskim. Inni wykonawcy sprawiali się dzielnie, choć mieli skromniejsze pole do popisu. Nie mogłam odnaleźć wśród grających Broniszówny. Ta świetna artystka za każdym występem ukazuje się w postaci zupełnie zmienionej, jak na seansie. Tym razem zakonspirowała się kompletnie. Dopiero afisz pozwolił mi stwierdzić tożsamość jej osoby.

S. P. O.

PIĘCDZIESIĘCIOLECIE PRACY ARTYSTYCZNEJ ZOFJI CZAPLIŃSKIEJ

W dn. 31 maja w teatrze Polskim obchodzone zostało pięćdziesięciolecie pracy na deskach scenicznych wybitnej artystki komedjowej, p. Zofji Czaplńskiej. Na przedstawienie jubileuszowe wybrano pełną wiosnianego uroku sztukę Caillaveta i de Flersa, p. t. „Ładna historia”, w której jubilatka odtworza śliczną postać babuni, pani de Trevillac.

Po drugim akcie zaczęły się owacje, składanie kwiatów i upominków. Przemówienia okolicznościowe wygłosili: prezes Zarządu Tow. Teatru Polskiego, hr. Edward Krasieński, prezydent miasta Warszawy inż. Zygmunt Słomiński, dyr. Arnold Szyfman, Jan Adolf Hertz i inni.

Młodej jubilatce, która, mając lat pięć, rozpoczęła swą karierę teatralną, jako solistka baletu, a potem całe swe życie poświęciła scenie, — przesyłamy najserdeczniejsze życzenia długiej i owocnej pracy dla dobra naszej sztuki. S. P. O.

KSIĄŻKI NADESŁANE DO REDAKCJI

TOW. WYDAWNICZE „RÓJ“:

Sygyda Undset: „Krystyna córka Lawransa“.

tom 1 — „Wianek“,

tom 2 — „Żona“,

tom 3 — „Krzyż“ — autoryzowany przekład Wandy

Kragen.

Andrzej Gide: „Falszerze“ — przekład z francuskiego Jarosława Iwaszkiewicza i Heleny Iwaszkiewiczówny.

J. Barbey d' Aurevilly: „Dawna kochanka“ — przełożyła Zofja Maliniak.

Gracja Deledda: „Rozbitkowie w przystani“ — przeł. dr. Janina Rostkowska.

Bruno Jasieński: „Pałę Paryż“.

M. B. Lepecki: „Oceanem, rzeką, łądem“.

Irena Zarzycka: „Ślubne pantofelki“.

Bronisław Kretowicz: „O czym szumi Dewajtis“.

James Oliver Curwood: „Tajemnica Johna Keitha“ i „Steele z królewskiej konnej“.

Paul Frank: „Czek na milion“ — przełożyła R. Centnerszewska.

E. CHOMIŃSKI — WILNO.

Eugenja Kobylińska: „Utopiona lalka“.

BIBLIOTEKA GROSZOWA.

P. Romanov: „Dusza ludzka“.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Birucie. — Naśladownictwo japońskich wierszy Remigjusza Kwiatkowskiego. Nie zamieścimy.

B. W. Z. — *Lwów*. — Z nadesłanego wiersza nie skorzystamy.

T. G. — Z nadesłanych wierszy nie skorzystamy.

Kobieta w świecie i w domu

ŚWIETLICE KOŁA POLEK I „HISTORJA O PIĘKNEJ JAGNIESZCIE“.

Działalność świetlic dla dziewcząt, prowadzonych przez Koło Polek, mało jest znana naszemu ogółowi. A szkoda, bo stanowi ona bezsprzecznie poważną pozycję w naszym dorobku kulturalnym. Świetlice, wzorowane na amerykańskich klubach młodych dziewcząt, mają na celu stworzenie środowiska towarzyskiego dla młodzieży żeńskiej tych sfer, w których zazwyczaj rodzina i najbliższe otoczenie nie jest w możności dostarczenia swym młodym latoroślom rozrywki, odpowiedniej ich wiekowi i kulturalnym wymaganiom.

Rozwój świetlic oparty jest na ustroju samorządowym, kierowniczka odgrywa tu rolę dyskretnej budzicielki, podsuwającej raczej, niż nakazującej plan działania. Uczestniczki w świetlicy przechodzą jakby szkołę uspołecznienia, wyrabiają w sobie samodzielny sąd, poszanowanie gromady i poczucie własnej godności.

Kilka lat uczęszczania do świetlic stworzyło nową rasę duchową dziewcząt. Te same, dla których przedtem „kawaler“ był bożyszczem, jedynym celem czułych westchnień i zabiegów, teraz przeszły do porządku dziennego nad tym przedmiotem wyłącznego kultu. Nowe, ważniejsze sprawy unaocznily im błahość dawnych zainteresowań. Był to objaw bezwzględnie dodatni.

Ale ta samowystarczalność dziewcząt obudziła w nich pewne poczucie wyższości nad chłopcami z ich sfery, którzy pod względem kulturalnym i towarzyskim pozostali daleko w tyle za swymi rówieśnikami. Należało zapobiec, grożącemu rozłamowi, który w skutkach mógł się okazać zgubnym. Kierowniczkom świetlic chodziło przecież nie o wytworzenie arystokratyzmu duchowego w sferach pracujących, ale o jaknajszersze demokratyzowanie i udostępnienie zdobyczy kulturalnych.

Tytułem próby i ze zrozumiałem w takich wypadkach wahaniem, stworzono świetlicę koedukacyjną dla młodzieży obojga płci w wieku od lat 12 do 22. Rezultaty pracy przerosły wszelkie oczekiwania. Świetlica koedukacyjna okazała się ośrodkiem szeroko promieniującym i skupiającym młodzież nie tylko pracującą zarobkowo i fizycznie, ale również i kształcąca się. Praca w kółkach literackich otworzyła pole szlachetnej emulacji, z której niejednokrotnie dziewczęta wychodziły zwycięsko, budząc rzetelne uznanie wśród chłopców. Poszanowanie kobiety, ten znakomity czynnik pedagogiczny, odegrał właściwą rolę w towarzyskim i społecznym ustosunkowaniu się do koleżanek na terenie współpracy i współżycia świetlicowego.

„Historja o pięknej Jagnieszce“, pióra kierowniczki świetlic, p. Niemyskiej, odegrana na scenie teatru „Ateneum“ przez młodzież, skupiającą się w świetlicy praskiej, jest dowodem z jednej strony, jak wiele zrobić można z materiału niemal surowego, jeżeli w grę wchodzi dobra wola obu stron i serdeczny stosunek między kierowniczkami a pupilami, a z drugiej, jak cennym środkiem pedagogicznym jest zabawa.

Dziewczęta i chłopcy, grający role żaków i przekupek krakowskich z XVI w., w kostjumach i dekoracjach, wykonanych własnoręcznie z rozbrajającym prymitywizmem i naiwnością, wygłaszali archaizowany tekst nie tylko poprawnie, ale ze swobodą i zrozumieniem ludzi inteligentnych, obytych ze staropolszczyzną i bynajmniej nie skrupowanych sceną. Ich werwa, humor, przytomność umysłu i tupet w momentach kłopotliwych — charakterystyczne cechy dzieci Warszawy — wytrzymały doskonale tę próbę słu, na terenie dotychczas niewyzyskanym.

„DZIEŃ MATKI”

Widownia, złożona przeważnie z młodzieży mieszczań-
skiej, reagowała sympatycznie i z poczuciem komizmu sytuacji.
Burzą oklasków powitano nadprogramowy efekt zgubienia przy-
prawnego nosa przez bakalarza. Młodociany aktor nie stropił
się bynajmniej tym niespodzianym incydentem, wrzucił nie-
znacznie nos do kubka, z którego przed chwilą chleptał pi-
wo i, jak gdyby nigdy nic, ciągnął swą tyradę dalej.

Reżyserja, dbała o wyrobienie smaku w zespole, powinna
pomiarować rozmiary i kształty brzuchów, biustów i nosów.

Głoteska jest drogą bardzo śliską dla początkują-
cych. Dobrze też byłoby tak powiązać poszczególne sceny, aby
ilość odsłon nie sięgała jakiejś apokaliptycznej cyfry. Skoro to
ma być szkoła dobrego smaku, niechże nią będzie w zupełności.

Narazie zarówno młodemu zespołowi, jak i ich pełnym
chlubnego zapалу i poświęcenia kierowniczkom, życzyć należy
coraz bujniejszych owoców z ich usilnej pracy S. P. O.

WYCIECZKA ZJEDNOCZENIA POLSKO - RZYMSKO - KA-
TOLICKIEGO Z AMERYKI

przybyła do Polski na Powsz. Wyst. Krajową. Pociąg specjal-
ny z Gdyni przywiózł około 150 osób. Witał gości prof. Ant.
Ponikowski i inni, poczem rozwieziono ich po mieście.

Po krótkim wypoczynku urządzono zbiórkę przed pomni-
kiem Mickiewicza, następnie złożono wieniec na grobie Niezna-
nego Żołnierza, zwiedzano Stare Miasto i Katedrę św. Jana.

Po południu w pięknej sali Rady miejskiej odbyło się
uroczyste powitanie. Goście amerykańscy przybyli ze swym
sztandarem, jak również pokrewne organizacje społeczne War-
szawy. Pozatem obecni byli przedstawiciele rządu, miasta i in-
stytucyj społecznych. Uroczystość rozpoczął hymn narodowy
polski i amerykański, poczem ks. biskup Szlagowski mówił
o wielkiej przeszłości Polski i jej dziejowym znaczeniu. Imie-
niem komisarjatu rządu przemawiał p. Świerczewski, w imie-
niu miasta — prezydent Stonimski. Dłuższe przemówienie wy-
głosiła przewod. katol. Zw. Polek p. Wl. Zamoyska, a krótko
i gorąco przemówił sędziwy pisarz Sieroszewski, wznosząc
okrzyk na cześć Rzp., poczem odegrano hymn narodowy.

Prezes Polsk. Mac. Szkolnej, p. Stemler, dał obraz odro-
dzenia Polski Niepodległej. Przypomnił gościom, że udawali
się za ocean, kiedy „matka była chora, a dziś matka zdrowa
i dzieci przyjechały w gościnę”. Mowa, poparta danymi cyfro-
wami, była pogładową nauką o Polsce, trafiała też do serc słu-
chaczy, którzy ją często przerywali oklaskami.

Następnie zwrócił się po włosku do J. E. Nuncjusza
kapelan zjednoczenia ks. Janeczko, poczem opowiedział po pol-
sku, jak to po 20 latach tęsknoty płynęła gromadka rodaków
do kraju, znosząc srogą burzę na oceanie; ale nie lękali się jej,
gdyż prowadziła ich myśl o Polsce.

J. E. ks. Nuncjusz Marmaggi odpowiedział po włosku,
kończąc swe przemówienie po polsku pozdrowieniem Chry-
stusowem.

Gorąco, z tężyzną amerykańską przemówił prezes Zjed-
noczenia p. Olejniczak, dziękując za wzruszające przyjęcie, po-
czem zaznaczył, że urodzony, jak wielu członków zjednoczenia,
na ziemi amerykańskiej, chowany był w miłości ojczyzny. To
też nie trzeba nawoływać polaków amerykańskich do dania ser-
ca Ojczyźnie: te serca do niej należą.

Wycieczka składa się z rolników, rzemieślników i robot-
ników. Twarze mężczyzn bardzo charakterystyczne, ogolone,
ogorzale, z wyrazem siły. Wśród kobiet dużo osób starszych,
które nie mogą ukryć prawdziwego wzruszenia. Sporo dzieci,
mówiących dość słabo po polsku.

Główny Komitet przyjęcia Wycieczek opracował program
zwiedzania i wycieczek starannie, chcąc w ciągu 5 dni, pokazać
gościom Zamek, Łazienki, Belweder, Wilanów, Bielany. Po trzy-
dniowym pobycie goście udali się do Poznania na Powsz. Wyst.
Krajową. M. D.

Mówi się i pisze zwykle tak wiele o miłości do dzieci,
tyle się myśli poświęca i ponosi wysiłków, aby im było jaknaj-
lepiej na świecie, że mało zostaje czasu na rozpatrzenie stosun-
ku dzieci do rodziców, szczególnie do Matek.

Jednak od pewnego czasu zauważyć można propagandę
w tym kierunku, której wyrazem są „dnie Matki”, na całym
świecie. Urządzane w tym celu, aby choć trochę okazać czci tym,
które dzieciom dają z siebie tak wiele.

Zapoczątkowała tę akcję młodzież Ameryk. Czerw. Krzy-
ża. Starsze pokolenie amerykańskie przyjęło tę myśl z zapa-
łem. Dzień Matki obchodzony jest tam niezwykle uroczystie.
W Czechosłowacji kult Matki ujawnia się w sposób bardzo głę-
boki. W tym dniu dzieci otaczają matkę czcią, dają jej kwiaty
i upominki, wyręczają w zajęciach domowych i t. p.

U nas tę myśl podjęła całym sercem młodzież Polsk.
Czerw. Krzyża, urządzając i udoskonalając rok rocznie od lat
pięciu „dzień Matki”. Dzieci, przyzwyczajone do wprowadzania
w czyn humanitarnych idei Czerw. Krzyża, w dniu tym skła-
dają publiczny hold Matce, wciągając do tej akcji coraz szer-
sze kręgi młodzieży, nie tylko z kół P. C. K.

W tym roku dn. 26.V odbyła się uroczysta Akademia
w Filharmonji, urządzona staraniem Warszawskiej Komisji Od-
działowej Kół Młodzieży Polsk. Czerw. Krzyża wespół z Wydz.
Oświaty i Kultury Magistratu m. st. Warszawy. Salę ustrojono
chorągiewkami P. C. K. i narodowymi; estradę ubrano kwiatami
i sztandarami P. C. K., dokoła zaś umieszczono adresy dzie-
ci do Matek, wzruszające w swej naiwności i prostocie. Sala
cała zapelniona była po brzegi dziećmi i Matkami; niektóre przy-
szły z drobnymi dziećmi, to też miało się wrażenie święta w ro-
dzinie.

A kiedy podczas przerwy szeregi dzieci rozniosły po ca-
łej sali i galerji pęki kwiecica i adresiki dla matek z prześliz-
nym wierszem Juliana Ejsmonda — wrażenie święta i holdu
tembardziej się spotęgowało. Blyszczaly łyzy w oczach Matek
i w oczach starców, dzieci ożywiały świadomość spełnionego
szlachetnego czynu, to też siały wokół radość i zadowolenie.

W dniu tym niewątpliwie w żadnej rodzinie, z tych, co
w świecie brały udział, nie było zgrzytów pomiędzy Matką
a dziećmi. Zespoliła je z pewnością jeszcze bardziej wzajemna
miłość, zaufanie i wdzięczność. I gdyby koła młodzieży P. C. K.
propagowały tylko tę jedną ideę czci dla Matki, jużby to było
wielkim krokiem naprzód w rozwoju naszej duchowej kultury
i należałoby się im za to wyrazić głębokiego uznania.

Alc koła młodzieży P. C. K. robią już wiele innych prac
humanitarnych i rozwijają się pomyślnie.

Akademję rozpoczęło słowo wstępne p. prof. Tadeusza
Meyznera, poczem p. Anna Roszkowska, niestrudzona przewod-
nicząca Warsz. Komis. Oddziałowej P. C. K., mówiła o „dniu
Matki w Kołach P. C. K.”.

Program długi i urozmaicony wypełniły występy mło-
dzieży szkół powszechnych, Kół Młodzieży P. C. K., sem. naucz.
im. E. Plater i najmłodszego zespołu Tacjana Wysockiej.

Niektóre produkcje stały na wysokim poziomie arty-
stycznym. M. D.

NAGRODĘ ZA NAJLEPSZY PRZEKŁAD OTRZYMAŁA
KOBIEȚA.

Odbyło się w Warszawie posiedzenie sądu konkursowe-
go, zwołane przez zarząd Penklubu, w celu przyznania nagro-
dy za najlepszą pracę przekładową w okresie ostatnich trzech
lat.

Do składu sądu konkursowego należeli: pp. Zofja Nał-
kowska, Piotr Choynowski, Julian Tuwim, Wiljam Horzyca
i Zdzisław Kleszczyński. Nagrodę w sumie 1000 złotych przyzna-
no pani Anieli Zagórskiej za przekład powieści Józefa Conrada
p. t. „Zwycięstwo” z uwzględnieniem całokształtu jej działal-
ności, jako tłumaczki.

ODŻYWIANIE A ZDROWIE

B. Przepisy, wchodzące w skład II-go dania na obiady lub kolacje dla chorych na nerki. Przepisy na 6 osób.

Szpinak. Pół kg. szpinaku młodego, niewyrośniętego, przebrać, odrzucając żółte lub zwiędłe liście; pooddzielać od korzonków, zostawiając liście z jaknajdłuższą szypułką. Wypłókać w kilku wodach, odsączyć na durszlaku, wrzucić do $\frac{3}{4}$ litra gotującego się mleka (dla zdrowych można osolić). Oddzielnie rozpuścić 2 płaskie stołowe łyżki masła, 5 płaskich stołowych łyżek mąki; zrobić białą zasmażkę, dodając potrochu mleka z ugotowanego szpinaku. Szpinak nie powinien gotować się dłużej, niż 12 minut. Ugotowany, wyjąć z rondelka, posiekać i wymieszać z zaprażką i pozostałym mlekiem. Podawać natychmiast. Smaczne są do tak przyrządzonego szpinaku pieczone kartofle.

Pieczone kartofle. Wybrać 6—8 gładkich, średniej wielkości kartofli. Opłókać i wyszorować specjalną szczoteczka do warzyw, obsuszyć, natrzeć masłem lub skórka od słoniny. Wstawić do gorącego piecyka na 25—35 minut. Naciąć skórę, nacisnąć od dołu kartofel, włożyć kawałek świeżego masła i podać natychmiast.

Marchewka młoda i cebula młoda, groszek zielony mogą być również gotowane, jak szpinak, w mleku, zaprawione białą zaprażką i podane z kartoflami pieczonemi lub purée.

W niektórych wypadkach, gdy lekarze zalecają dietę bezsolną — ścisłą — należy do tak ugotowanego szpinaku wcisnąć kilkanaście kropel soku z cytryny, do marchwi dodać cukru, a cebulę, w ten sposób przyrządzoną, podawać z inną kwaskową jarzyną: buraczkami ze śmietanką lub sałatką z surowych jarzyn.

Bezsolna dieta jest mdła i trzeba ją w ten sposób urozmaicać.

Sałatka z surowych jarzyn:

Kapusty poszatkowanej	1 szklanka
marchewki w drobną kosteczkę	$\frac{1}{2}$ „
jablek	$\frac{3}{4}$ „
ogórka świeżego w drobną kosteczkę	$\frac{1}{2}$ „

(Przy dozwolonym soleniu można wziąć ogórek kwaszony).

Utrzeć 1 duże jabłko nieobrane, wcisnąć soku z cytryny, dodać posiekanego szczypiorku według smaku i wymieszać razem.

Do tego zrobić sos: mleka $\frac{3}{4}$ szklanki; mąki 2 łyżki stołowe płaskie; 1 jajko; masła 2 łyżki stołowe płaskie; musztardy pół łyżeczki płaskiej; soli $\frac{3}{4}$ łyżeczki płaskiej.

W małym naczyniu mąkę wrzucić na rozpuszczone, ale niezrumienione masło, rozrobić mlekiem na gęstawą masę. Po zagotowaniu wstawić to na

czynnie do rondelka większego z gotującą się wodą. Ubić zlekką jajko i wrzucić je do sosu, mieszając, aż masa zgęstnieje. Po ostudzeniu dodać musztardę, sól, troszkę soku z cytryny i oblać sałatkę. Sałatka taka estetycznie wygląda — podana na liściach od sałaty lub kapusty, w indywidualnych porcjach.

Wszelkie inne sałaty, jak: zielona zwykła ze śmietaną, pomidorowa z oliwą i cytryną, sałatka z rzeżuchy z oliwą i cytryną, z gotowanych jarzyn — powinny być częstym dodatkiem do obiadu lub kolacji.

Potrawy mączne.

Knedliki z twarożkiem. 25 dkg. ugotowanych, utłuczonych, przestygniętych kartofli, 37 dkg. przetartego przez sito, lub przepuszczonego przez maszynkę twarogu, 1 jajko, 10 dkg. rodzynek, 8 dkg. mąki, 5 dkg. cukru — zmieszać dobrze. Rękami, poproszonymi mąką, robić małe, płaskie kluski. Wrzucić na gorący tłuszcz i obsmażyć z obu stron; układać na brytfannie, wyłożonej bibułą, aby obsączyć nadmiar tłuszczu z tych knedlików. Wstawić na chwilę do letniego pieca i podać, posypane cukrem.

Opiekanki z kaszy. $\frac{3}{4}$ litra mleka, 5 dkg. masła zagotować; wsypać 25 dkg. kaszki (krakowskiej, manny) i gotować, aż zgęstnieje. Dodać 10 dkg. rodzynek, 5 dkg. cukru i, o ile chory znosi białko — dodać 3 jaja rozbite. Smażyć, jak knedliki.

Ryż jest bardzo cennym pożywieniem wogóle, a w szczególności dla chorych na nerki.

Najlepiej kupować ryż gatunku „Burma“ (po 92 groszy za 1 kg.), bo ten ma najwięcej witamin.

Ryż na parze z groszkiem i serem.

	na 1 osobę	na 6 osób
Ryżu	$\frac{1}{3}$ szklanki	2 szklanki
mleka	1 „	6 „
groszku	$\frac{1}{4}$ — $\frac{1}{3}$ „	$1\frac{1}{2}$ „

sera szwajc. lub parmezanu dowolną ilość.

Umyć ryż w zimnej wodzie, sparzyć wrzątkiem, przelać zimną wodą przez durszlak; wrzucić na gotujące się mleko, wstawić naczynie z ryżem w drugie z gotującą się wodą — tak na parze gotować około 50 minut. Nie mieszać podczas gotowania. Podać, wymieszany z zielonym groszkiem i posypany parmezanem.

Dla odmiany — podać wymieszany z ugotowaną kapustą słodką (w drobnych kawałkach) i grzybkami duszonymi z masłem i tartą cebulką. Smaczny ryż jest również z podduszonymi pomidorami.

Kluseczki najodpowiedniejsze są te, które mało jaj zawierają i które można podawać z mlekiem, a więc zacierki, kluseczki z kartofli.

Budynie najbardziej wskazane są z jarzyn i te, w których skład wchodzi mąka kartoflana.

Wśród deserów — budynie z tapioki, mąki kartoflanej i owoców. Świeże owoce i kompoty powinny być na pierwszym miejscu.

Przepisy deserów na 2 osoby:

Budyń z jabłek i tapioki:

Tapioki $\frac{1}{4}$ szklanki
 cukru 1 łyżka
 wody 2 szklanki
 3 duże jabłka.

Wrzucić tapiokę na gotującą się wodę; po zagotowaniu wstawić do drugiego garnka z gotującą się wodą na 15—18 minut. Gdy tapioka stanie się przezroczysta i gęsta, wrzucić ją na pokrajane w kostkę jabłka. Wstawić do piecyka na pół godziny. Podać z cukrem i bitą śmietaną.

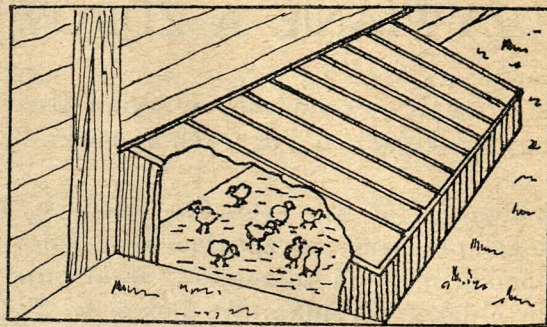
Kisiel owocowy: Soku z owoców (malin, porzeczek etc.) — 1 szklanka; mąki kartoflanej — 2 płaskie łyżki; wody — 2 łyżki; cukru ilość zależna od kwasowości soku.

Oslodzić sok, stosownie do gustu, i zagotować. Rozrobić mąkę kartoflaną z wodą, dodać potrochu sok i gotować 30 minut w naczyniu z podwójnym dnem, lub wstawionem w drugie, większe, z gotującą się wodą. Z początku mieszać. Podać z mlekiem i cukrem na zimno.

RACJONALNE KURNIKI

(dok.)

Kombinacja powyższa na drewnianej podłodze jest zupełnie nie do pomyślenia. Podłogę drewnianą trzeba jeszcze doskonale zabezpieczyć przed myszami i innymi rabusiami; w tym celu obić ją można przy ścianach blachą, lub podbić siatką drucianą. Toż samo zaleca się i pod sufitem, gdyż kuny i tchórze zwykle zjawiają się zgóry. Podłoga konieczną jest w samym kurniku, gdzie kury noc spędzają i niosą się; tak zwany grzebnik (b i e) może się obejść bez podłogi zupełnie, a nawet jest to wskazane; tam sypiemy plewy wprost na ziemię, od czasu do czasu



Skrzynia f — dla „najmłodszych“

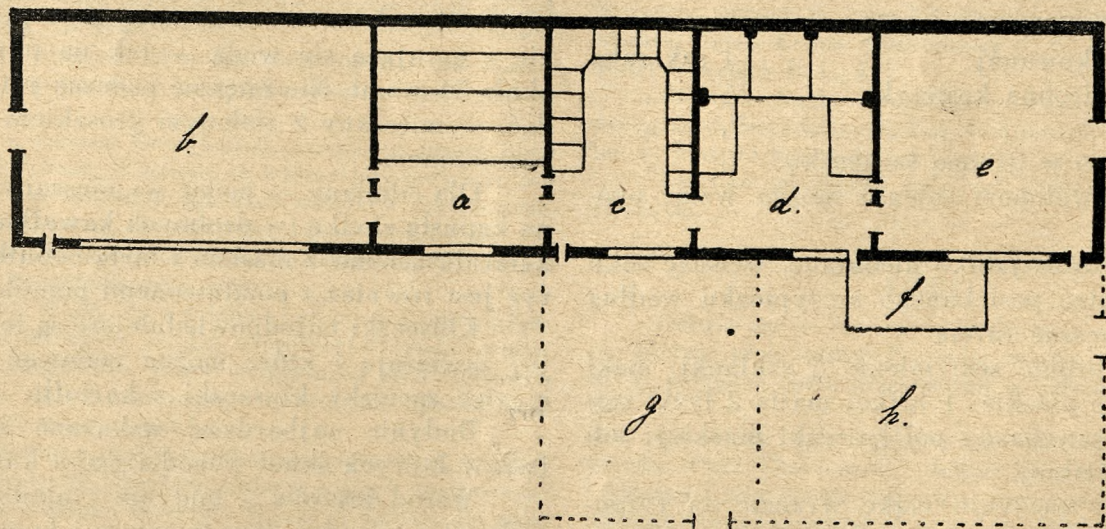
dorzucając trochę ziarna, aby kury zmusić do ciągłego ruchu. W zimie grzebnik może być też założony nawozem. Oddział d, przeznaczony dla kurcząt, musi mieć podłogę drewnianą; używany jest tylko wiosną, latem aż do późnej jesieni, potem dorosła już młodzież łączy się ze starymi kurami.

Wysokość kurnika o podłodze drewnianej nie powinna przewyższać 2,25 m.; o cementowej podłodze musi być o pół metra wyższy, gdyż liczyć trzeba na warstwę nawozu.

Sufit w kurnikach jest konieczny: latem izoluje od zbyt nagrzanego powietrza pod dachem, zimą, gdy cały strych założymy słomą, nie przepuszcza ciepła nazewnątrz.

Okna muszą być duże, możliwie nisko umieszczone, zawsze na zawiasach, aby je łatwo było otwierać; letnią porą powinny być usunięte zupełnie, dla łatwiejszego i obfitszego dostępu powietrza. Chcąc zabezpieczyć szyby od tłuczenia, objamamy okno od wewnątrz siatką drucianą, która pozostaje też podczas lata po wyjęciu okien. Na zimę okna muszą być podwójne, choćby na jednej i tej samej ramie, po obu jej stronach.

Bardzo ważną, dużo ciepła przysparzającą rzeczą, są okna, umieszczone pochyło, jak to widać na rysunku.



Plan wzorowego kurnika

Drzwi służą do przejścia ludziom, kury mają swoje specjalne otwory — 25×40 cm. — umieszczone cokolwiek wyżej nad podłogą, na noc zasuwają zamknięte. Od strony zewnętrznej przystawiony mostek ułatwia im schodzenie na dwór. Otwory te, jak i okna, powinny znajdować się zawsze od strony południowej, nigdy zaś — północnej.

Rozplanowanie wewnętrzne następujące, patrząc od strony lewej ku prawej:

a) Sypialnia—grzędy, to oheblowane listwy 6 cm. szerokie, oparte wszystkie na jednej powierzchni, we wgłębieniach, na poprzecznie ustawionych kozłach. Wysokość grzęd od ziemi może być 60—90 cm., zależnie od rasy ciężkiej czy lekkiej, odległość jednej grzędy od drugiej — 45 cm.

b) Grzebniak dla kur dorosłych — posiada dwie drzwi, dwa przejścia dla kur i jedno bardzo duże okno, większą część roku pozbawione szyb.

c) Pomieszczenie kur nieśnych. Tu grzęd nie ma, miejsca pod ścianami zajęte są przez gniazda zatrzaskowe lub zwykłe; jeśli kur więcej — mogą być i piętrowe. Codziennie rano, po przeglądzie kur, kury z jajkami powinny być tu wpuszczone i nie wypuszczane, dopóki jajka nie zniosą. Aby nie trzymać kur tak długo w zamknięciu, dobrze jest, jeżeli można im dać do spaceru małe podwórce g, tak zwany wybieg, otoczony siatką drucianą, dla ras ciężkich 2 m. wysoką, dla lżejszych — 2½—3 m.

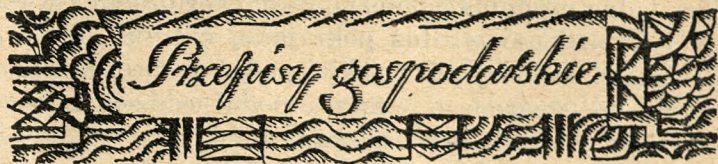
d) Przegroda dla młodego drobiu z grzebniakiem e oraz wybiegiem h. Do ścian w kilku miejscach przybijamy listwy, między które wsuwamy ramy, obite gęstą siatką, a to w tym celu, aby mając nieraz po kilka kwok jednocześnie, oddzielić jedną od drugiej i zapobiec częstym bójkom. W miarę, jak kurczęta podrastają, zabieramy siatkowe przegrody, a wstawiamy im niskie grzędy; ale z nadto śpieszyć się z tem nie trzeba: o wiele im zdrowiej, jeżeli dłużej posiedzą na podłodze, zasłanej słomą. Do ścianki tego pomieszczenia dostawiamy wysoką skrzynię inspektową f dla najmłodszych kurcząt, których jeszcze na dwór wypuścić nie chcemy. Kurczęta dostają się do niej przez specjalny otwór, wprost z kurnika.

Najzdrowiej jest dla kur, jeżeli mogą używać nieograniczonej swobody, po całym podwórzu; jeżeli jednak to ma być zabronione, musimy im zabezpieczyć tyle miejsca, aby się swobodnie ruszać mogły. Na jedną kurę nieśną liczy się wtedy 10 m² wybiegu, o ile możliwości obsadzonego krzakami lub zadrzewionego.

Opisany powyżej kurnik jest 19 m. długi, 4 m. szeroki, pomieścić może 70—80 kur dorosłych. O ile kto wychowuje młodzież oddzielnie, może kurnik skrócić; o ile kto chce mieć w tym samym budynku miejsce jeszcze na inne ptactwo, powinien dać z tyłu korytarz, a z niego dopiero drzwi do poszczególnych

pomieszczeń. Mojem zdaniem jednak, każdy rodzaj drobiu powinien mieć osobne pomieszczenie, bo każdy innych warunków wymaga i musi być traktowany indywidualnie, aby nam korzyści, a nie straty przysporzyć.

A. D.



RAKI PO POLSKU.

Na wyraźne życzenie czytelniczek podaję ten sposób przyrządzania raków, bardzo rzeczywiście smaczny, lecz tak wiele trudności przedstawiający przy jedzeniu. Raki, pływające w wybornym, lecz ogromnie tłustym sosie, nie dają się oczyścić bez pomocy rąk, to też po ich spożyciu należy już nie zwykłą miednicę z wodą i ręcznik, lecz cały dzban gorącej wody i twarde ryżowe szczotki do paznogi przygotować na użytek biesiadników. Do raków wogóle podaje się papierowe serwetki, gdyż raki, nawet zwykłe, w wodzie solonej z koprem i cebulą gotowane, pozostawiają na białym stole brzydkie, trudno dające się wyprać, plamy.

Bardzo duże raki oczyścić dokładnie twardą szczotką i wrzucić na wrzący smak, ugotowany z kopru, siekanej cebuli, pietruszki i marchwi w mocno osolonej wodzie. Przykryć pokrywą. Gdy tylko raki szczerwienią, wodę odlać, raki przełożyć do naczynia, w którym mają być podane do stołu. Podłożyć sporą łyżkę masła i dusić wolniutko, często potrząsając rondlem, aż masło lekko czerwienieć zacznie. Zalać raki śmietaną, licząc pełną szklankę śmietany na mendel raków. Poddusić jeszcze 5 minut. Wsypać garść drobno usiekanego zielonego koperku i garść tartej bułeczki. Wstrząsnąć mocno parę razy rondel, aby się wszystko dokładnie wymięszało, i gorące podawać na stół. O ile nie mamy ładnego platerowanego lub niklowego rondla do tej potrawy, można zwykły rondel owinąć białą serwetą.

WĘGORZ SMAŻONY.

Węgorza przed usmażeniem należy w pierw ugotować, gdyż surowy nie dałby się przesmażyć dokładnie i, jako ryba tłusta, niedosmażony mógłby być szkodliwy. Węgorza oczyszczonego, jak zwykle, — przyczem skóry nie należy ściągać, a tylko dobrze oskrobać i otrzeć grubym piaskiem, aby nie była śliska — pokrajać na dzwonka i osolić. Ugotować smak z włoszczyzny, jak na rosół, do wrzącego włożyć kawałki węgorza i gotować dalej na wolnym ogniu, aż ryba zmięknie. Wyjąć ją ze smaku i ostudzić. Smak

ten jest wybornym rosółem z węgorza; należy go zaprawić oddzielnie rozklejoną kaszką perłową, lub też podawać czysty z jakimikolwiek pasztecikami. Gdy węgorz dobrze ostygnie, utarzać dzwonka w mące, następnie w rozbitem jajku, na koniec w bułeczce i smażyć w obficie rozpuszczonym maśle z dodatkiem łyżki oliwy. Gdy dzwonka ładnie się zrumienia, ułożyć je w ładną piramidkę, obłożyć wkoło kartoflami z wody i ćwiartkami wzdłuż pokrajanej cytryny, ubrać gałązkami zielonej pietruszki i podać gorące. Można też do tak smażonego węgorza podać oddzielnie sos musztardowy, lub rumiany kaparowy.

OZÓR W GALARECIE.

Ładny kawał gotowanego, peklowanego, lub wędzonego ozora pokrajać w cienkie plastry, (w mieście można w wędliniarni kupić dwadzieścia deka gotowanego ozora). Cztery jaja ugotować na twardo i pokrajać każde na 8 — 10 plasterków, najlepiej specjalną, do tego przeznaczoną maszynką. Przygotować filiżankę groszku, bądź świeżo odgotowanego, bądź też z konserwy. Trzy szklanki zwykłego rosółu zakolorować kawałkiem karmelu na kolor jasno - złocisty i rozpuścić w nim dwanaście listków białej żelatyny, w pierw rozmoczonej w zimnej wodzie. Nalać do foremki na palec tej galarety. Gdy zastygnie, posypać na nią groszek, ułożyć rząd jajek i rząd ozora, zalać galaretą i znów zastudzić. Powtarzać, aż wszystko wyjdzie i foremka się napełni. Postawić na chłodzie na sześć godzin, poczem wyrzucić na półmisek, ubrać wokół zieloną sałatką i podać z sosem majonezowym lub tylko z chrzanem z octem.

BUDYŃ Z DROBNEJ KASZKI.

Zagotować trzy szklanki mleka, wrzucić na nie dwanaście deka drobnej kaszki krakowskiej (maczku), odstawić na brzeg blachy, gotować wolno, często mieszając, aż kaszka dobrze wybrzęknie. Odstawić, aby wystygło. Gdy kaszka będzie letnia, wsypać

w nią soli (łyżeczka od kawy), osiem deka cukru, pięć czy sześć drobno usiekanych gorzkich migdałów, lub wlać trzy krople olejku migdałowego, dodać garstkę sułtanek czy koryntek i wbić cztery jaja. Utrzeć to wszystko razem. Pozostałe białka ubić na sztywną pianę, zmieszać ostrożnie z resztą masy, przelać do wysmarowanej masłem i wysypanej bułeczką formy budyniowej i gotować godzinę całą (licząc od chwili zagotowania wody). Wyrzucić na półmisek, ubrać konfiturami i podać odpowiedni do konfitur syrop owocowy.

Można ten budyń podać także z sosem waniliowym lub szodonowym.

KOMPOT Z RABARBARUM.


Ciągle mnie mordują czytelniczki telefonami, że im rabarbarum w kompiecie zupełnie się rozgotowuje. Otóż, jeżeli kompot gotować, jak się należy, kawałki powinny zostać zupełnie całe. Łodygi rabarbarum pokrajać w trzy centymetrowe kawałki, — naturalnie, po uprzednim oczyszczeniu z włókien. Ugotować lekki syrop, licząc pół szklanki cukru na szklankę wody. Wrzucić dla zapachu kawałek cynamonu, parę goździków lub kilka kawałeczków skórki cytrynowej. Na wrzący syrop wrzucić rabarbarum i natychmiast odstawić na mały ogień. Gotować wolniutko, tak aby tylko woda lekko drżała. Po dziesięciu minutach kompot gotów i kawałki wszystkie zupełnie całe. Chcąc, aby syrop był zawiesisty, można na trzy, cztery szklanki syropu zaprawić go łyżeczką od herbaty kartoflanej mąki, rozbitej z paru łyżkami zimnej wody. Przebrać na salaterkę i zastudzić.

Pani Elżbieta.


UNIWERSYTECKA SZKOŁA PIELEŃNIAREK I HIGJENISTEK W KRAKOWIE

otwiera nowy kurs dnia 1 lutego 1950 r. Nauka trwa 2 lata; przyjmuje się tylko internistki. Wykształcenie: 6 klas gimnazjalnych, lub równorzędne. Zgłoszenia: Dyrekcja Uniwersyteckiej Szkoły Pielęgniarek i Higjениstek: Kraków, Kopernika 25.

WŁOSÓW WYPADANIE I ŁUPIEŻ USUWAJĄ
ESENCJA I MYDŁO
CHINOWO-CHMIELOWE (z „KOGUTKIEM”).
SPRZEDAJĄ APTEKI, SKŁADY APTECZNE
I PERFUMERJE. — GŁÓWNY SKŁAD:
APTEKA A.GAŚECKIEGO W WARSZAWIE, FRETA 16.



HEMOROIDY CZOPKI „VARICOL”
HEMOROIDALNE.
USUWAJĄ BÓL, SWĘDZENIE, PIECZENIE I KRWA-
WIENIE. ZMNIEJSZAJĄ GUZY (ŻYLAKI). — SPRZE-
DAJĄ WIĘKSZE APTEKI. — SKŁAD GŁÓWNY —
APTEKA A.GAŚECKIEGO, W WARSZAWIE, UL. FRETA 16.
ORYGINALNE Z MARKĄ FABRYCZNĄ „KOGUT”



WARUNKI PRENUMERATY

w kraju oraz do Austrii, Czechosłowacji i Węgier: miesięcznie 5 zł. 80 gr., kwartalnie — 17.40, gr., rocz-
nie — 69.60 gr. Do innych krajów miesięcznie — 7.20 gr. — Zmiana adresu 50 gr.

Cena numeru w sprzedaży 1 zł. 60 gr.

Cena numeru w prenumeracie 1 zł. 34 gr.

Prenumeratę przyjmuje Administracja „Bluszczu” — Warszawa, Plac Zamkowy 9. Konto P.K.O. — Warszawa 3700

Wydawca: Tow. Wydawnicze „BLUSZCZ”. Sp. z ogr. odp.
Redaktorki: STEFANJA PODHORSKA-OKOŁÓW (naczelnia) i MARJA PODHORSKA-OKOŁÓW
Redakcja i Administracja: Warszawa, Plac Zamkowy 9, tel. 239-40. Ekspedycja: ul. Górnośląska 19. Telef. 244-75,
Druk. Zakł. Graf. Tow. Wyd. „BLUSZCZ” Rymarska 8, tel. 244-18.

Nasza Mównica

Pierwsze wrażenia z wystawy.

Świeżo po powrocie z Poznania, pod radosnem i krzepiaćcem wrażeniem z Powszechnej Wystawy Krajowej, z przyjemnością wyszukuję w prasie i oczekuję w „Bluszczu“ artykułów o Wystawie, przepojonych temi samemi wrażeniami.

Jakże miło i dobrze czuć zjednoczenie się w radości i dumie ze zbiorowego wysiłku! jak wyjątkowem jest to unisono poprzez różnice polityczne, dzielnicowe i inne! i jaka to już sama w sobie realna korzyść, jaki skutek moralny Poznańskiej Wystawy!

Tem trudniej pozostać mi samej z przykrością i rozczarowaniem, na tejże Wystawie doznaniem; czuję potrzebę podzielenia się mojem wrażeniem z współczytelniczkami „Bluszczu“.

Miałam tylko cztery dni czasu, zwiedzając więc wszystkie działy z konieczności pobieżnie i w szybkim tempie, zatrzymywałam się dłużej tylko przy stoiskach, specjalnie mnie interesujących. Pawilon Pracy Kobiet zostawiłam sobie, jako specjalnej uwagi godny — na koniec. Słyszałam i czytałam, że kosztował on wiele zbiorowego wysiłku, pracy i trudów — otwarcie jego nawet odbyło się osobno — nie dziwnego więc chyba, że szukałam jakiejś kwintesencji, wyodrębnienia i zobrazowania całokształtu pracy kobiet w Polsce w dziesięcioleciu ubiegłym.

Tymczasem — tymczasem — przepraszam — ale zrobił na mnie wrażenie przybudówki, przypominającej bazyli — przy imponującym gmachu Wystawy Krajowej.

Nie mówię o stronie zewnętrznej pawilonu: nie razi ona, ani nie pociąga specjalnie niczem; jedno tylko uderza odrazu, że ma wystawy okienne, czego nie widziałam nigdzie, prócz chyba w niektórych pawilonach wytwórni czekoladek i win owocowych. Tyle — zewnątrz.

Od wewnątrz... przyznam odrazu, że zwiedzanie nie zajęło mi wiele czasu: nie miałam, wprost, cierpliwości. Ależ to poprostu powtórzenie, w skrócie i w gorszym wydaniu, wielu innych stoisk! te kilimy, obrazy, szale, koronki, serwetki, konserwy i t. d. i t. d. — wszystko to widziałam już w działach właściwych. Jedynym samodzielnym, oryginalnym eksponatem był model wzorowej kuchni.

Jeśli było co więcej ciekawego, to nie zauważyłam, gdyż było skutecznie zduszone i zagłuszone mnogością drobnych eksponatów.

Więc to ma być całokształt pracy kobiety? prze-

cie to samo, a może więcej, dały „Ziemianki - włościanki“ pod firmą znacznie skromniejszą!

Na szczęście nasze — a na nieszczęście pawilonu — nie jest on obrazem pracy kobiet, ani jej jedynym reprezentantem na wystawie. Eksponatów pracy kobiety polskiej nie brak, i doprawdy, mało jest stoisk, gdzieby jej wcale nie było. Pełno jej w pałacu sztuki, w działach sztuki dekoracyjnej, ludowej, przemysłu artystycznego; zresztą tam, gdzie „autor“ bywa wymieniany, udział kobiety jest wyraźnie i imiennie zaznaczony. Mamy osobno — prace uczennic, ziemianek, włościanek, robotnic, * nawet kobiet - więźniów w działach odpowiednich.

A stoiska opieki społecznej, wzorowe żłobki, krople mleka, prace organizacyj społecznych, rolniczych, prasa, a cała wystawa rządowa, weźmy np. działalność Ministerstwa Oświaty, która pracę tysięcy nauczycielek w swych ramach obejmuje — to wszystko udział kobiety w P. W. K. Gdzie go niema? Może jedynie w przemyśle ciężkim. Wszędzie zresztą jest praca kobiety, w różnym charakterze, bezimiennej kobiety - robotnicy.

Nie chcę jednak tem samem wyrazić przekonania, że, mojem zdaniem, pawilon pracy kobiet był wogóle zbyteczny. Bynajmniej, kwestja równouprawnienia kobiety i równowartościowości jej pracy nie jest przecie jeszcze zamknięta, nie we wszystkich państwach przez prawodawstwo załatwiona. Od tak niedawna dopuszczone jesteśmy do udziału w prawach i obowiązkach obywatelskich, tak niedawno pracują kobiety w wielu działach i z roku na rok obejmują coraz to nowe placówki — że należało wyodrębnić całokształt naszej pracy i nasz dorobek dziesięciolecia.

Ale, skoro nie urządzamy osobno wystawy pracy kobiet, jak to zrobiła niedawno Szwajcjarja, a rozporządzamy skromnemi środkami w ramach budowy i urządzenia jednego pawilonu — jakże fatalnem nieporozumieniem było to nagromadzenie chaosu drobnych eksponatów. Wyodrębniając się, trzeba dać coś nowego, a przynajmniej — inaczej ujętego.

Czyż nie lepiej było wszystkie te eksponaty umieścić we właściwych im stoiskach, a zamiast nich dać dane statystyczne, ujmujące udział kobiety ilościowy i jakościowy we wszelkich gałęziach pracy w Polsce, od Curie - Skłodowskiej począwszy, aż do mas kobiet - robotnic i włościanek włącznie.

Ciekawe mogłoby być także zestawienie udziału pracy kobiet w P. W. K. Nazwiska kobiet-uczonych, kobiet-autorek, artystek — mówią same za

siebie, ale pracę rzesz kobiecych, urzędniczek, nauczycielek i innych, tych rzesz bezimiennych kobiet pracujących — uchwycićby można tylko graficznie. Że statystyka — to nie koniecznie nudne, suche, papierowe wykresy, że może ona być podana w formie nie tylko estetycznej, ale nieraz pięknej, dla wszystkich dostępnej, zwracającej uwagę i łatwo utrwalającej się w pamięci — dowodem mogą być na P. W. K. Pawilon Banku Rolnego i wykresy Ministerstwa Skarbu, mistrzowsko operujące par excellence „suchym“ materiałem.

Dla tego, co jest — nie warto było się wyodrębniać.

Szkoda niepowetowana; stało się!

Na pocieszenie, powiedzmy sobie, że P. W. K. przecie nie jest wystawą prac męzczyzny, ale narodu polskiego, a, siłą faktów, kobieta tyle w niej miejsca zajęła, ile go w życiu gospodarzem i intelektualnym, w pracy narodu zajmuje.

Inż. roln. Janina R. — Warszawa — Grochów.

A jednak w szkole nie jest dobrze. (*Jeszcze w sprawie praktyk religijnych — w odpowiedzi Katolice z Sandomierza*).

Słusznie, że wszyscy w Polsce zajmujemy się szkołą. W niej mają wychować się obywatele Polski — w niej cała przyszłość nasza.

Smutno tylko, że zabieramy się nieraz do krytyki „metod pedagogicznych — wychowawców“, nie mając do tego żadnych podstaw.

Trzeba pamiętać, że żyjemy w wieku dwudziestym, że szkoła — to nie jakaś fikcja, gdzie się mówi i robi, co się komu podoba; — szkoła — to instytucja rządowa, gdzie każdy krok nauczyciela planowo jest obmyślony i kontrolowany.

I tak, jak na nauczyciela trzeba mieć patent kwalifikacyjny, tak i na katechetę trzeba mieć „prawo kanoniczne“.

Nie poskapi badań ksiądz - wizytator, by się przekonać, jakich metod używa nauczyciel. A rozmówka powizytacyjna da księdzu - wizytatorowi obraz uczącego religji, bo każdy polak jest szczerzy i niechący nawet swe myśli głośno wypowie.

Wypowiadam też swe myśli, jako nauczycielka i związkowczyni, którą żywo dotknęły zarzuty, skierowane pod adresem organizacji.

Jakież były te praktyki religijne, o które Związek walczył w sejmie? Oto — by „w pewnych wypadkach w każdą niedzielę nie prowadzić dzieci do kościoła“. Jeśli więc Związek upominał się o to, to nie jeden człowiek, ale głos 37 tysięcy, którzy zetknęli się z warunkami i nie mogą patrzeć na to obojętnie.

Oto przykład:

Przed ośmiu laty pracowałam w wiosce, oddalonej o osiem klm. od kościoła. Mimo, że byłam wychowywana w zakładzie Zakonnic, gdzie pobożność zawsze nam wszczepiano, nie pokusiłam się prowadzić dzieci w każdą niedzielę. Na 3-go Maja idziemy od szóstej — zdążyliśmy na przeżeganie — radość —

nagle dzieci w kościele zaczynają blednąć i pięcioro mdleje. Kto winien? Nauczycielka! dzieci głodne prowadziła taki kawał (chciała tylko zdażyć).

Nauczycielka winna, że nasz ludek każdą kropelkę mleka niesie do żyda, do centryfugi, bo pieniędzy potrzeba, a w żołądku nic nie widać. Lakiery, suknie jedwabne i kapelusze trzeba mieć — odżywnie dzieci mniejsza!

A przecież, jeżeli kościół jest na miejscu, to nauczycielstwo związkowe idzie do kościoła, a że w 7-io klasówce przyjdzie 5-ro dzieci — to też wina nauczycieli? Oni przecież świecą przykładem i wszyscy idą, a dzieci tak mało.

Bydełko trzeba paść, a w niedzielę kary za to żadnej niema!

Wychowywanie — to oddziaływanie, to wpływ wszystkiego i wszystkich, co otaczają jednostki. Więc jeżeli mamy dziś dzieci nawet i bolszewickie — to nie wina szkoły.

Co tu poradzi nauczyciel?...

Uczy: nie siedź w domu ani w szkole w czapce! — uszanuj obrazy, wyobrażenia świętości!

Ile razy wejdę do klasy — chłopcy w czapkach: — odpowiedź: — „u nas w domu nigdy tato nie zdejmuję — mówi — w czapce to jakoś lepiej i raźniej“!

Mów, przekonywuj — a on swoje, bo chłop jest uparty.

Uczę religji (mam prawo kanoniczne), opowiadam 10-letnim dzieciom o męce Pana Jezusa. Chwile tak straszne, że powinny najtwardsze serce skruszyć — naraz jedno z dzieci woła — „to nieprawda! tato mówi, że pani bajki opowiada“!

Zbiórka na dar 3-go Maja — uprzednio wytłumaczyłam, na jaki to cel. W szkole, bardzo dobrze: — po złotówce przyniesiemy. — Na drugi dzień, — to samo dziecko: „ja tam pani pieniędzy dawać nie będę; tato powiedział, że może pani sobie od męża brać“.

Dzieci nie chcą lepić z gliny, bo tato i mama nie pozwalają — zebranie rodzicielskie, aby pouczyć. Troje zainteresowanych — odpowiedzi: „Ja tam nie robiłem grabi w szkole, a umiem zrobić. Proszę pani, trzeba dzieci uczyć czytać i rachować, a nie różnych fidrygałów. Nie potrzeba kurzu (nawozu sztucznego) i tak się zboże urodzi“. — Od lepienia do kurzu i grabi!

To tylko cząstka — jak ziarnko piasku w morzu. Nie należy więc ciskać kamieniami potępień na tych, którzy stykają się z temi warunkami. Chcieliby przyszłość widzieć świetlaną, a myśl, że i cząsteczka ich pracy w tem tkwi — byłaby radością nieodstępną do śmierci. Nie wiem, może gdzieindziej jest lepiej — ja w takich warunkach pracuję.

A może Sz. Pani Katoliczka zna jakie czarodziej-skie sposoby, któreby jad trucizny wyrwały z dzieci, nim przyjdą do szkoły?

Nauczycielka - Związkowczyni i też katoliczka.

Od słów do czynu.

Czytając „Mównicę“ od początku jej powstania, interesowałam się ogromnie wszystkimi, poruszanymi w niej sprawami. Nazwałyśmy ją nawet —

znajome moje i ja — naszym kobiecym parlamentem, w którym poruszać możemy wszystkie żywotne i głęboko nas obchodzące sprawy. Jakież jest jednak zadanie parlamentu? Czy tylko wnoszenie i dysputowanie projektów? Nie! głównym celem obrad parlamentarnych jest uchwalanie praw i ustaw, które są potem wykonywane.

Taksamo i u nas byćby powinno; mądra inicjatywa, praktyczny pomysł, przedyskutowany w „Mównicy“, przekształcać się powinien w realny czyn, znajdować od razu chętnych i pilnych wykonawców. Tymczasem tego nie widać.

Projektów przewinęło się przez tych kilka miesięcy mnóstwo. Budowa domów dla kobiet samotnych; przeniesiony z „Bluszczu“ na łamy „Mównicy“ projekt przystani dla desperatów; opieka nad opuszczonymi matkami; pomoc dla Kresów Wschodnich, o którą kołatano dwustronnie, dla ludu białoruskiego i osadników wojskowych — i wiele, wiele innych, pomniejszych.

Ale od projektu nie doszło w większości wypadków do realizacji. Jedynym realnym rezultatem, który zauważyłam, jest pomoc, zorganizowana dla dzieci białoruskich przez dzieci śląskie. Wykonanie innych planów składają przeważnie projektodawczy nie na redakcję „Bluszczu“.

Jakże to tak może być? Nie znam techniki prac redakcyjnych, ale mi się zdaje, że nie może być zadaniem pisma organizowanie stowarzyszeń społecznych, zakrojonych na tak szeroką skalę, aby jednoczyły cały kraj w wielką jakąś centralę w tegoż pisma redakcji. Nie jest to zadaniem dzienników, ani tygodników, gdyż prowadząc taką pracę — swoich właściwych spełniaćby już chyba nie mogły. Wogóle, dzisiejsza decentralizacja wskazuje raczej na to, że w każdym mieście, w każdym nawet większym miasteczku powstawać muszą autonomiczne organizacje społeczne, obejmujące najpilniejsze potrzeby miejscowe.

Trzeba więc koniecznie, aby Sz. Projektodawczynie pomyślały intensywnie nad wprowadzeniem swych projektów w czyn. Głos mój nie jest zresztą odosobniony: już przed kilku tygodniami podobnej realizacji planów domagała się panna Róża Machówna z Poznania, podając, jako przykład, jak kilka osób zdołało zorganizować pomoc dla inteligencji, pozbawionej pracy. Tę samą sprawę porusza pośrednio p. Stefanja R. w artykule p. t. „Co radzić na niedołęstwo“, w którym zapytuje, jak realnie zorganizować można pracę społeczną na prowincji. Wszystkim rzuca się w oczy prędko konieczność wykonania mądrych i dzielnych planów.

Więc i ja niniejszem, nie podając nowego projektu, wołam tylko o zrealizowanie już istniejących. Jest to konieczne i musi być spełnione w swoim kółku, w swoim środowisku, bo nie znajdziemy żadnej wielkiej centrali, któraby za nas te rzeczy robiła, dając nam gotowy zarząd, kasę do przesyłania składek, plan całej roboty. Każda z nas, czytelniczek „Bluszczu“, interesujących się sprawami społecznymi i chcących pracować, rozejrzeć się musi

w otaczających ją warunkach, zorjentować się, co zrobić najlepiej w danym momencie i środowisku, dobrać sobie ludzi do pomocy i zabrać się do pracy. Tylko tym sposobem wszystkie projekty szerzenia kultury, pomocy i opieki społecznej i samopomocy własnej, będą mogły zostać urzeczywistnione.

A więc, drogie, kochane siostry-czytelniczki, przejdźmy od słów do czynu! Obyśmy po drugim półroczu istnienia „Mównicy“ przesyłać do niej mogły, obok projektów, jaknajliczniejsze sprawozdania z ich wprowadzenia w życie. Obyśmy mogły pochwalić się, że już w kilku punktach kraju powstały, czy to domy opieki nad matkami, czy wspólne domy kobiet samotnych, czy inne projekty, które już stały się czynem.

Marja Korowska — Przemysł.

Jak leczyć chorobę niedołęstwa (w odpowiedzi p. Stefanji R).

Żyję sama na głębokiej prowincji, blisko granicy rumuńskiej, daleko od wszelkiej kultury, więc znam to życie, pełne małości i powag małomiasteczkowych; wiem, jak trudno coś zdziałać, a zwłaszcza — porwać i zachęcić te szare masy, o których podniesienie kulturalne najwięcej powinno nam chodzić — bo przecież bez uświadomienia ich nigdy nie zajmiemy miejsca, równego narodom, przodującym pod względem kultury.

By jednak przecie coś zrobić, a zarazem znaleźć dla siebie pewne zadowolenie spełnionego obowiązku społecznego, radzę zawiązać towarzystwo społeczne, oddział „Narodowej Organizacji Kobiet“, lub „Związku Pracy Obywatelskiej Kobiet“, a uzyskawszy większą ilość członków, podzielić się na sekcje: dobroczynną, czytelnianą, odczytową, a wreszcie dochodową, jeżeli się uda — założyć szwalnię.

Każda z sekcji, mając sobie przydzieloną pewną ilość czynności, będzie mogła coś zdziałać, ponieważ nie myślę nawet, by nie znalazło się choćby w małej miejscinie kilka kobiet, które chcą coś robić i potrafią inne do tej pracy zachęcić.

Zarządy Główne tych stowarzyszeń znajdują się w Warszawie — tam więc można zasięgnąć bliższych informacji i postarać się o statut. Redakcja „Bluszczu“ będzie mogła zapewne udzielić adresów. Z doświadczenia wiem, że oddziały, zawiązywane na prowincji, właśnie dlatego, że zostają w związku z głównym zarządem, który interesuje się prowincjonalnymi kołami, a te muszą składać roczne sprawozdania i brać udział przez wysłane delegatki w zjazdach, urządzanych każdego roku w większych miastach — rozwijają się wcale dobrze — chętnym zaś osobom dają sporo pracy i możliwość wzajemnego oddziaływania na siebie. Radzę więc serdecznie tej drogi spróbować.

H. G. z Małopolski.

Położenie Pani jest rzeczywiście bardzo przykre i dość trudno znaleźć odpowiednią radę, zwłaszcza, jeśli nie zna się bliżej warunków, wśród których dana osoba żyje. Z pewnością jednak niema tak złego położenia, z którego nie byłoby odpowiedniego wyjścia, jeśli, naturalnie, jest szczerą chęć do pracy i należyte zrozumienie zasady, że niema marnej pracy, ale jedynie są marni ludzie. Znam bardzo podobny wypadek, w którym również młoda kobieta, nieprzygotowana do pracy na chleb codzienny dla siebie i swych dzieci, wychowana w zupełnie odrębnych warunkach — dała sobie radę i doprowadziła do wytkniętego celu. t. j. nie będąc nikomu ciężarem, dała swym dzieciom wychowanie i wykształcenie, zapewniające im byt niezależny. Musiała jednak zapomnieć o tem, co ją otaczało w dzieciństwie i w pierwszej młodości, a zabrać się do pracy ręcznej, mimo, że były to czasy, gdzie rękodzielnicтво było uważane, jako coś niższego od pracy umysłowej; kto zaś wykonywał tę pracę, schodził o szczebel niżej w pozycji towarzyskiej.

Sądę więc, że w tym wypadku można dać sobie radę. Z korespondencji Pani widzę, że umie Pani krawiecczynę, możeby można odbyć kurs kilkumiesięczny, by uzyskać patent, na którego podstawie można otrzymać posadę kierowniczką szwalni? W miejscowości, w której mieszkam, jest szwalnia, a kierowniczką jej jest osoba, nie posiadająca nawet patentu. Ponieważ jednak robi i prowadzi zakład odpowiednio, ma wcale niezłe warunki: dostaje mieszkanie, opał, światło i 150 zł. gotówką miesięcznie. Praca taka ma tę zaletę, iż, o ile ktoś ma dzieci, może je mieć przy sobie.

Możnaby także postarać się o posadę zarządczyni bursy lub jakiegoś internatu dla młodzieży, lub przyjąwszy kilka osób dorosłych, albo uczęszczających do szkół, dawać im za odpowiednią opłatą utrzymanie. Jest to praca ciężka, ale można z niej żyć. Jeśli okolica, w której Pani mieszka, jest ładna, możeby można w lecie założyć rodzaj małego pensjonatu. Gdyby dać skromne, ale o przystępnych cenach utrzymanie, — można liczyć na pewne powodzenie.

W sprawie nieszczęśliwego męża Pani udać się trzeba do odpowiednich władz, by został przyjęty do zakładu dla umysłowo chorych. Również możeby można, jeśli dzieciaki już są w odpowiednim wieku, umieścić je w jakim zakładzie, naturalnie bezpłatnie. Wprawdzie rozstanie się z dzieckiem, to dla matki rzecz bardzo przykra, ale potrzeba łamać żelazo.

W każdym razie nie należy tracić nadziei, obmyślić jakąś odpowiednią do swych umiejętności pracę, wykonywać ją sumiennie, a z pewnością, pokonawszy pierwsze trudności, uzyska Pani byt niezależny.

W. S.

Proszę o pomoc.

Ponieważ w „Naszej Mównicy“ poruszane bywają nie tylko kwestje społeczne - ogólne, ale i osobiste, odważam się na tej drodze prosić Sz. Czytel-

niczki o informację, a mam nadzieję, że po podaniu powodu mego odezwania, otrzymam jakąś poradę lub pomoc.

Jestem żoną urzędnika, który prócz najbliższej rodziny, składającej się z 4-ch osób, utrzymuje rodziców - staruszków. Rzecz zrozumiała, że pensja na życie nie wystarcza. Lecz te ogólne braki byłyby niczem, **bo nie są jedynym wypadkiem**, gdyby nie nieszczęście choroby: — starszy synek, liczący 10-ty rok, po grypie, przebytej dwukrotnie, tak jest wątły, że z ogólnego osłabienia i wycieńczenia może wpaść w gruźlicę. Wskazane jest śpieszne i racjonalne leczenie. Na leczenie środków nie mamy — rozpacz nas ogarnia — dziecko nadzwyczaj uzdolnione. Odmawiamy sobie wszystkiego, by go ratować, lecz potrzeba wyjazdu, gdyż klimat nie służy mu i leczenie i odżywianie jest bez rezultatu — dziecko niknie w oczach.

Apeluję na tej drodze do swych Siostrzyc - Matek, by zechciały mi wskazać osobę, która potrzebowałaby opiekunki dla swych dzieci nad morzem lub w Zakopanem, a sama nie może być z niemi, bym mogła wziąć dzieci pod macierzyńską opiekę, a wzamian za to miała utrzymanie i mogła wziąć swego synka i za niego, naturalnie, płacić.

Dziecko moje nie kaszle i nie gorączkuje, nie jest więc dla nikogo niebezpieczne, jest tylko wycieńczone.

Proszę zrozumieć mą bezsilną rozpacz i odczuć w swych sercach ten ból, jaki nurtuje w sercu matczynem, gdy widzi swe dziecko w niebezpieczeństwie. Dziecko narazie gruźlicy nie ma, mogę w potrzebie podać świadectwa lekarskie, gdyż rozumiem obawę matek. Nadmieniam, że byłam nauczycielką i zasady wychowania nie są mi obce.

Zrozpaczona matka

L. R. — Woj. Pozn.

Gdzie jechać na lato?

Która z pań - czytelniczek zamierza wyjechać nad morze, polecam Karwę nad pełnem morzem, z piękną plażą i lasami. Warunki (nie w pensjonacie) są następujące: pokój miesięcznie 95 zł. na dwie lub trzy osoby; koc, poduszkę najlepiej zabrać. Obiady smaczne gotują rybaczki, kolacje i śniadania na życzenie także. Prywatnie u rybaków taniej się mieszka, niż w pensjonacie. Dojazd do Karwi: do Pucka, w Pucku trzeba się przesiadać na linję Krokowo, na stacji Sławoszyno wysiąść i końmi lub autem do Karwi 4 i pół klm. Nie macie panie pojęcia, jak w Karwi jest ślicznie. Można siedzieć nad morzem od świtu do wieczora. My tak robiliśmy w zeszłym roku. Zaraz po obudzeniu się i śniadaniu — na plażę. A o zachodzie słońca do domu. Swoboda tu zupełna i to jest też wielką zaletą Karwi, dla ludzi, potrzebujących prawdziwego odpoczynku. Niema tu modnych hoteli, dancin-gów, nie potrzeba myśleć, jak się ubrać, lecz zato korzystać można w pełni z ciszy, spokoju i cudów natury naszego wybrzeża morskiego. Wiem, że są jeszcze wolne mieszkania.

Marja Ł. — Poznań.